WTOREK

O młodych gimnastykach z KS „Targówek" fotoreportaż na str. 3

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 51 29 KWIETNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

Nie tylko lekarz musi być dobrym diagnostą...

Umiejętności szybkiego i prawidłowego rozpoznania „chorób" czterokołowych pacjentów uczą się słuchacze technikum samochodowego w Radomiu. Radomska szkoła istnieje już 15 lat. W ciągu tego okresu wypuściła 1300 techników i 1200 absolwentów zasadniczej szkoły zawodowej. Obecnie na pięciu wydziałach uczy się tu przeszło 1600 słuchaczy. Absolwenci zatrudniani są przede wszystkim przez Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. W zakładach tych większość uczniów już wcześniej, w trakcie nauki, przechodzi praktyki zawodowe. Technikum posiada jedną z najnowocześniej wyposażonych pracowni diagnostycznych i uczniowie szkoły radomskiej wykonują corocznie usługi wartości 3 mln złotych.

W związku z szybkim rozwojem przemysłu motoryzacyjnego projektuje się poważną rozbudowę technikum samochodowego, co spowoduje, iż stanie się ono najnowocześniejszą tego typu placówką w kraju. **(mh.)**

Zdjęcie: **CAF**

NOWE PODRĘCZNIKI DLA SZKÓŁ ZAWODOWYCH

190 TYTUŁÓW DO PRZEDMIOTÓW FACHOWYCH
4 MILIONY EGZEMPLARZY KSIĄŻEK!

WARSZAWA (PAP). Uczniowie szkół zawodowych otrzymają w nowym roku szkolnym 190 tytułów podręczników do przedmiotów fachowych w nakładzie ok. 4 mln. egz. **Prawie połowę tytułów stanowią nowe wydania książek.**

Najwięcej podręczników otrzymają uczniowie techników, liceów ekonomicznych i zasadniczych szkół zawodowych. Przewidziano także podręczniki dla słuchaczy podstawowego studium zawodowego o kierunku: budowlanym, elektrycznym, chemicznym włókienniczym i spożywczym. W bieżącym roku zostanie zapoczątkowana również **27-tomowa seria „Poznajemy zawody"**, przeznaczona dla uczniów wyższych klas szkoły podstawowej oraz dla rodziców i nauczycieli.

Celem wydawnictwa jest bliższe zapoznanie młodzieży z poszczególnymi zawodami i ułatwienie wyboru kierunku kształcenia się. W bieżącym roku ukażą się m. in. tomiki: „Hutnictwo", „Przemysł drzewny", „Przemysł odlewniczy", „Rzemiosło usługowe". **(bis)**

PO POLSKU I PO ROSYJSKU

PYRZYCE (HSI). VI Szczep Harcerski przy Szkole Podstawowej nr 3 zorganizował niedawno spotkanie z pionierami, dziećmi pracowników Garnizonu Wojsk Radzieckich z Kluczewa. Po krótkim programie artystycznym związanym z 30 rocznicą wyzwolenia Pyrzyc harcerze i pionierzy udali się razem pod Pomnik Wdzięczności i złożyli tam wiązanki kwiatów, a następnie zwiedzali wspólnie pyrzyckie zabytki. Po południu odbyła się zabawa, podczas której goście uczyli harcerzy radzieckich piosenek. Gospodarze nie pozostali im dłużni i odwzajemnili się śpiewem po polsku. (hr)

W Turośni Kościelnej, pow. Łapy działa jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej, która istnieje już 49 lat. W 1932 r. z inicjatywy strażaków wybudowano świetlicę – stoi do dziś. Odbywają się w niej wszelkiego rodzaju imprezy i seanse kinowe. W 1934 r. postawiono garaż na strażacki samochód; był to stary i mocno zniszczony wóz. Obecny jest bardzo szybki i świetnie wyposażony. Niektórzy strażacy pracują w jednost-

DZIELNI LUDZIE

ce od samego początku, a więc od 1926 r.! Jednym z nich jest Józef Bondar, który przez 25 lat pełnił obowiązki naczelnika straży. Wielokrotnie z narażeniem własnego życia ratował on mienie i życie ludzkie. Pan Bondar posiada wiele odznaczeń, z których jest bardzo dumny. Zapytany, co mu daje mundur strażaka odpowiedział: „Cieszę się, że w razie potrzeby mogę przyjść drugiemu człowiekowi z pomocą". Panu Bondarowi i wszystkim strażakom z Turośni z okazji zbliżającej się 50 rocznicy powstania jednostki życzymy wszystkiego najlepszego!

Bożena Dryl, Turośń Kościelna

NA OSIEDLU TYSIĄCLECIA

KATOWICE (HSI). Niedawno miało tu miejsce uroczyste wręczenie dyplomów i nagród harcerzom z Miejskiego Ośrodka Drużyn działającym na terenie katowickiego Osiedla Tysiąclecia, którzy zdobyli pierwsze miejsca w ogólnopolskim konkursie „Harcerze współgospodarzami osiedla".

Wyróżnienie to nie tylko ogromny zaszczyt, ale i mobilizacja do jeszcze intensywniejszej działalności. W planach na najbliższy okres harcerze tego osiedla przewidują m. in. zagospodarowanie pomieszczeń nieczynnej kotłowni, i urządzenie w niej osiedlowej harcówki oraz zbudowanie kilku gokartów. Jako budulec wykorzystają cztery wycofane z ruchu motocykle przekazane im przez PZMot. **(mt)**

W PABIANICACH ZUCHY ŚPIEWAJĄ

PABIANICE (HSI). W wypełnionej do ostatniego miejsca sali widowiskowej Szkoły Podstawowej nr 8 w Pabianicach odbył się niedawno III Konkurs Piosenki Zuchowej. Specjalnie powołane jury miało nie lada kłopot z ustaleniem miejsc i przyznaniem nagród, bowiem wszystkie zespoły – a było ich piętnaście – przygotowały się do imprezy bardzo starannie.

Pierwsze miejsce i nagrodę – „Złotą nutkę" zdobył zespół szczepu harcerskiego przy Szkole Podstawowej nr 11. Drugie miejsce przyznano drużynie zuchowej ze Szkoły Podstawowej Nr 1, a trzecie – zuchom z Młodzieżowego Domu Kultury. **(hr)**

CUDOWNE DRZEWO „BIAŁYCH"

JANGRAT (HSI). Dziewczęcy zastęp „Sokołów" zaprosił niedawno chłopców na swą niedzielną zbiórkę. Wszystko było tego dnia inne niż zwykle. Po rozłożeniu namiotu na leśnej polanie harcerki przygotowały wspaniały obiad, ugotowany na samodzielnie zrobionej kuchni.

Potem część dziewcząt i chłopców przebrała się za „Indian". Między „plemieniem czerwonoskórych", a „białymi" rozgorzała walka. Prowadzono ją na drewniane miecze i pistolety (oczywiście zrobione samodzielnie). W pewnej chwili młoda „Indianka" „śmiertelnie zaniemogła", a jej współplemieńcy wiedzieli, że choroba ta może być uleczona tylko przy pomocy soku z drzewa rosnącego na terenie „białych". Ci jednak nie chcieli dać gałęzi dobrowolnie. Wydawało się więc, że wojna znów jest nieunikniona. Znalazło się jednak kilku „białych", którzy przyjaźnili się z „Indianami" i ci przekonali resztę, że w przyjaźni i pokoju nie liczy się kolor skóry. W końcu dali gałązkę cudownego drzewa i szczepy pogodziły się ze sobą.

Halina Kieca

GIEŁDA POMYSŁÓW

DLA INNYCH i DLA SIEBIE

Nasz zastęp uprawia „Niewidzialną Rękę", więc wiele zbiórek temu właśnie poświęcamy. Ostatnio przez kilka zbiórek robiliśmy znaki drogowe dla młodszych klas z naszej szkoły. Ponieważ zaś nazwa naszego zastępu brzmi „Turystyczne bractwo", więc bardzo często wyruszamy na dłuższe i krótsze wyprawy.

Aleksandra Harazim z Czerwionki

Dziś przedstawiamy:

SENEGAL

Poetów wyobrażamy sobie na ogół jako ludzi chodzących „z głową w chmurach", dla których kontakt z otaczającymi realiami jest smutną koniecznością. Przeciwieństwem tej postawy jest prezydent Senegalu — Leopold Sedar Senghor — generał, polityk, filozof i poeta — jeden z najdłużej urzędujących prezydentów w Afryce. Fakt, że jest poetą w niczym mu nie przeszkadza, by twardo rozprawiać się z przeciwnikami politycznymi np. byłego premiera Mamadu Dia i jego zwolenników skazał na kilkanaście lat więzienia. Leopold S. Senghor jest też sekretarzem generalnym partii rządzącej Senegalskiego Związku Postępowego (UPS) do niedawna jedynej legalnej partii politycznej. Aby obraz stosunków politycznych był pełny, należy dodać, że UPS posiada wszystkie mandaty w 80-osobowym Zgromadzeniu Narodowym.

Podstawą gospodarki narodowej Senegalu jest rolnictwo. Z pracy w rolnictwie utrzymuje się też prawie 80 proc. ludności. Uprawia się proso, sorgo, ziarno palmowe i orzeszki ziemne. W uprawie orzeszków Senegal zajmuje drugie miejsce w Afryce. Katastrofalna susza utrzymująca się od 6 lat, doprowadziła do spadku produkcji żywnościowej i głodu na niektórych obszarach kraju. Ryż, podstawowy artykuł żywnościowy, jest w większości sprowadzany z zagranicy. Mimo klęski i suszy, Senegal jest jednym z lepiej rozwiniętych gospodarczo krajów Afryki Zachodniej. Jednak większość gospodarki (przemysł, handel, banki) jest w rękach obcego kapitału, zwłaszcza francuskiego. O słabości gospodarki senegalskiej świadczy fakt, że planowany rozwój ma być w przeszło 3/4 sfinansowany przez pomoc zagraniczną.

Ta zależność gospodarcza, znajduje odbicie w polityce zagranicznej. Zarówno prezydent jak i partia rządząca opowiadają się za ścisłą współpracą z Francją. Ilustracją stosunków łączących oba kraje jest fakt, że kiedy prezydent Senghor wyjeżdżał z wizytą za granicę, na redzie portu Dakar stawał zazwyczaj francuski krążownik „Richelieu" i pozostawał dopóty, dopóki prezydent spokojnie nie wracał do siebie. (mr)

ROBOTNIK W BIAŁYM KITLU

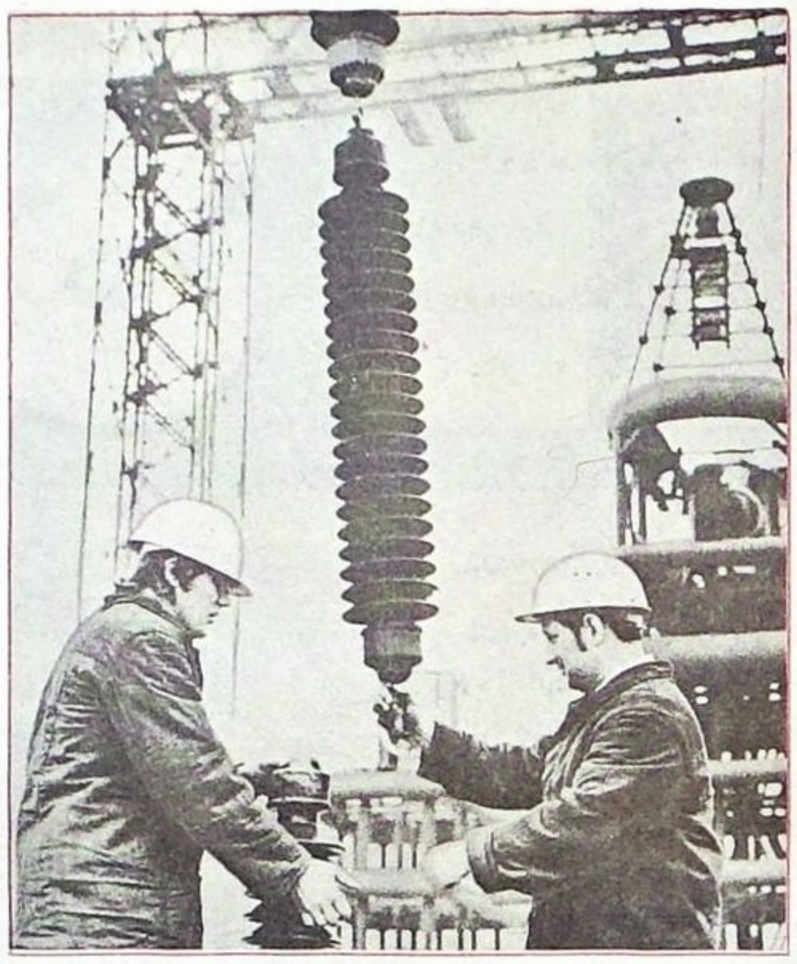

Rodzinę Partyków znam chyba od siedmiu albo ośmiu lat. Stary Jan Partyka, syn chłopa z Kielecczyzny, po wyzwoleniu pociągnął na zachód, osiedlając się we Wrocławiu. Nigdy nie miał do czynienia z przemysłem, ale że chciał zerwać ze wsią, która kojarzyła mu się z przerażającą przedwojenną biedą, poszedł do fabryki. Nikt wtedy nie żądał od niego kwalifikacji, nikt nie pytał o świadectwa. Na ziemiach zachodnich w szczególności, gdyż ludność tam dopiero napływała, a trzeba było jak najszybciej ruszyć produkcję. Potrzebna była każda para rąk. I w ten sposób Jan Partyka, chłop z dziada pradziada, dokonał dziejowego skoku — wszedł w szeregi klasy robotniczej.

Poznałem go, bo napisał list do redakcji: **„Wybaczcie, że ośmielam się zwracać do Was w tej sprawie, ale moje ojcowskie serce przepełnione jest dumą. Mój syn, Marian, został niedawno nagrodzony za projekt racjonalizatorski. Dał naszemu zakładowi milionowe oszczędności. To ogromna radość dla człowieka, który sam w życiu nie miał warunków na osiągnięcie takiego sukcesu, na skończenie szkół, ale wszystkie swoje siły poświęcił temu, by wychować dzieci, które zrobią to za niego, osiągając o wiele więcej".**

PIONIERSKIE LATA

Pojechałem tropem tego listu. Pamiętam bardzo dobrze moją pierwszą wizytę. Siedziałem w pokoju autora i podziwiając wiszące na ścianach dyplomy i proporce za wydajną i wzorową pracę, słuchałem opowieści o jego produkcyjnym życiu.

Przepisuję słowa Jana Partyki z tamtego reportażu: **„Byliśmy zbieraniną z całej Polski. Nie tylko z różnych regionów, ale także z różnych środowisk. Mało kto z nas miał do czynienia z przemysłem. Było wielu chłopskich synów. Byli też urzędnicy, dla których nie starczało miejsc przy biurkach i trochę takich wolnych ptaków, którzy do tej pory, raczej nigdzie nie pracowali. Najmniej było robotników z prawdziwego zdarzenia. Ale potem zaczęli napływać i od razu obejmowali komendę nad nami. Uczyli nas obchodzenia się z maszynami, rysunku technicznego, nawet punktualności, której chłop po prostu nie zna, bo sam sobie panem. A tu ciągły pośpiech..."**

Szybkie tempo uprzemysłowienia kraju wymagało szybkiego wzrostu klasy robotniczej. W latach 1947–58 jej stan liczebny podwoił się. Polska nie miała do wojny zbyt wielkich tradycji przemysłowych. W 1939 r. było niecałe 3 miliony robotników. Pod koniec 1958 r. — już 5 milionów, a obecnie — prawie 10. Szeregi pracowników przemysłu zasilali więc chłopi, niewykwalifikowane kobiety z miasta, chłopo-robotnicy, a nawet ludzie z marginesu społecznego, bez zawodu i stałej pracy.

To powodowało więc, że przysłowiowa pracowitość, ofiarność robotnika polskiego, jego sumienność i rzetelność występowały niejednokrotnie w tych samych zakładach z kultem bumelanctwa i brakoróbstwa, złodziejstwa, sobkostwa. I to często nie ze złej woli, ale z braku nawyków. Już na zasadzie anegdoty po Nowym Targu krąży opowieść o tym, jak to kilkanaście lat temu, gdy Podhalańskie Zakłady Przemysłu Skórzanego dopiero zaczynały produkcję, jeden z górali dusza rogata i nienawykła do jakichkolwiek zależności służbowych, nosił ze sobą sztylet pradziadka, którym straszył mistrza, gdy ten chciał nakłonić go do systematycznego chodzenia na kurs zawodowy. Dziś ten góral sam jest mistrzem i wymaga kwalifikacji od innych.

— Powoli człowiek przyzwyczajał się do tego nowego życia — wspominał Jan Partyka — dostrzegając związek między własnymi losami a losami zakładu, własną korzyścią a korzyścią kraju...

SPRAWIEDLIWY PORZĄDEK

To, co się nazywa świadomością klasową, nie kształtuje się z dnia na dzień. Ustrój socjalistyczny, czyniący robotnika odpowiedzialnym za losy swojego zakładu, na pewno proces ten przyspiesza. **„Ale wiele zależy od stosunków międzyludzkich"** — mówi Jan Partyka i ma rację.

W 1958 r. ukazał się w „Polityce" cykl artykułów o Zakładach Radiowych im. M. Kasprzaka, który ujawniał nieporządki w zakładzie. Niektóre oddziały opanowane były przez kliki. Robotników irytowały różne zjawiska sprzeczne z zasadami sprawiedliwości społecznej. Ilość i jakość wykonywanej pracy nie szły w parze z wysokością zarobków. Wielu pracowników o niskich kwalifikacjach i słabej wydajności pracy przewyższało zarobkami pracowników o wysokich kwalifikacjach i wysokiej wydajności.

Były to czasy, kiedy klasa robotnicza po okresie „kompletowania się" zaczynała samowychowanie, żywo reagując na wszelkie przejawy niesprawiedliwości, która — jak często mówiono wówczas — **„zabijała radość pracy, twórczą inicjatywę jednostek. A przecież tylko w przychylnym klimacie moralnym można wyzbyć się uciążliwości pracy, znaleźć czas na podnoszenie kwalifikacji i twórczy wysiłek dla dobra zakładu".**

RADOŚĆ PRACY I POSTĘP TECHNICZNY

I tu wkracza młodszy Partyka. Jego ojciec nie zrobił matury, skończył tylko kilka kursów zawodowych, bo produkcja komplikowała się i nie wystarczała już siła mięśni, chłopski rozum i elementarne wiadomości z rysunku technicznego. Syn skończył technikum i jest robotnikiem. W pokoju przy desce kreślarskiej wykładał mi podstawy współczesnej wiedzy o swej klasie:

— Rozwój techniki i podział pracy — to, że jeden człowiek wykonuje na taśmie produkcyjnej tylko jeden element, a nie jak dawniej cały produkt — wcale nie musi powodować zaniku wszelkiego zainteresowania pracą, zwłaszcza kiedy robotnik rozumie to, co robi. Postęp techniczny, już na etapie mechanizacji, zwiększa nie tylko zapotrzebowanie na pracowników wysoko kwalifikowanych. Sprawia również, że w pracy przemysłowej elementy pracy fizycznej splatają się coraz bardziej z pracą umysłową.

To prawda. Na przykład, według badań Ukraińskiego Naukowo-Badawczego Instytutu Metalurgii, w nowoczesnych stalowniach, prace wytapiacza obejmują tylko 15 proc. czynności fizycznych. 50 proc. przypada na kontrolę procesu produkcyjnego, 20 proc. na sterowanie procesem, a 8 proc. na rozplanowanie czynności i kalkulację wyników. I ludzie tym się zajmujący to też robotnicy, tylko rzekłbym — XXI wieku.

W tym momencie do pokoju zagląda syn Mariana, 5-letni Maciek.

— A jego czeka już automatyzacja — mówi ojciec — która wyeliminuje szereg zajęć, a nawet zawodów nużących, monotonnych, zrutynizowanych, zwiększy zaś liczbę zajęć kontrolnych, kierowniczych. Myślę, że mojemu Maćkowi potrzebne już będzie wykształcenie półwyższe lub wyższe, gdyż przy taśmie automatycznej pracować może jedynie człowiek rozwinięty wszechstronnie, rozumiejący funkcjonowanie nie tylko swojej maszyny, ale całego zakładu, potrafiący myśleć o przedsiębiorstwie jako całości.

Maciek pokazuje na deskę kreślarską ojca i pyta:

— Rysujesz nową maszynę?

— Tak, synku. — A do mnie: — Chodzi nam o zautomatyzowanie linii obróbki skrawaniem. Myślę właśnie o jej organizacji.

A ja, widząc go następnego dnia na hali w białym kitlu, przypomniałem sobie fragment książki francuskiego socjologa George'a Friedmanna.

„Ileż słyszeliśmy — pisze on — **tęsknych wypowiedzi na temat produkcji minionych okresów, na temat jakości przedmiotów wykonanych ręcznie z ogromną cierpliwością, za pomocą narzędzi bardzo prostych. Ale czyż właściwe odczucie tej doskonałości może nam przeszkodzić w uznaniu, że nowoczesna maszyna, stale osiągająca wyższy stopień wydajności i precyzji, umożliwia osiągnięcie nowego etapu, nowego rodzaju doskonałości? Pewna forma geniuszu technicznego znika na horyzoncie, ale inna znów rodzi się na naszych oczach".** A wraz z nią — dodajmy — wizja robotnika w białym kitlu i z głową pełną nowoczesnych koncepcji technicznych, co potwierdzają choćby badania prof. Wiesława Adamskiego, według których młodzież chce mieć możność stałego zdobywania wiedzy i kwalifikacji, ma większe niż jej rodzice predyspozycje do nowatorstwa oraz poświęca niemal trzykrotnie więcej czasu na dokształcanie się. Przyszłość polskiego robotnika rysuje się więc jasno.

WOJCIECH PIELECKI

Źródła: Ryszard Turski „Dynamika przemian społecznych w Polsce" i Wiesław Adamski „Postawy społeczno-zawodowe młodzieży pracującej".

Trudno byłoby się nam bez tego obejść

NIE LUBIŁEM muzyki poważnej, nie rozumiałem jej. Tym różniłem się od wszystkich domowników. Kiedy w niedzielę po obiedzie rodzina zasiadała przy głośniku radiowym słuchając koncertu chopinowskiego, wymyślałem zawsze jakiś powód, aby się od tej „przyjemności" wykręcić. Potem wyjechałem z domu, nie musiałem już uciekać przed koncertami, ale dalej nie lubiłem muzyki poważnej.

Kiedyś kolega zabrał mnie do filharmonii, wymudziłem się jak mops. Udawałem jednak zasłuchanego, razem ze wszystkimi biłem brawo. Głupio byłoby się wyróżniać. Dopiero po latach ktoś u znajomych nastawił płytę z I Koncertem Fortepianowym Czajkowskiego. I nagle doznałem olśnienia! Kiedy zabrzmiały pierwsze tony preludium zaczął mi się malować przed oczami obraz — stara Moskwa, chyba z czasów napoleońskich, zimowy wieczór, pada śnieg i rozdzwaniają się dzwony wszystkich tysiąca sześciuset cerkwi. Nastrój melodii się zmieniał, przywoływał coraz to nowe obrazy. Od tej pory utwory muzyczne kojarzą mi się zawsze z jakimiś obrazami. To odkrycie pomogło mi polubić Chopina, Szymanowskiego, Wieniawskiego.

Bywa tak czasem ze sztuką, że aby ją zrozumieć i polubić, trzeba wędrować okrężnymi drogami. Ale nigdy nie jest to stracony czas. Zawsze bogatszy jest ten, kto obok Sienkiewicza, Prusa i Żeromskiego czytał Tolstoja, Gorkiego, Paustowskiego...

Kultura radziecka jest nam szczególnie bliska. Składa się na nią i dorobek kulturalny wielkich słowiańskich narodów: rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego, i bogactwo artystyczne innych radzieckich republik — nadbałtyckich, kaukaskich, środkowo-azjatyckich... Jest różnorodna — pochodzi i z mroźnej północy, i ze słonecznego południa, i z dalekiego wschodu nad wielką rzeką Amur, i daleko stamtąd na zachód, znad Bałtyku. A jednocześnie taka sama — zawsze przepojona bliskimi człowiekowi sprawami: miłością do człowieka, przyjaźnią do ludzi, socjalistycznym optymizmem.

Dobiegają końca tegoroczne Dni Kultury Radzieckiej w Polsce zorganizowane w trzydziestolecie podpisania historycznego Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską a ZSRR. Przez 10 dni w 50 miastach, przy kilku milionach telewizorów i radioodbiorników spotykaliśmy się z radzieckim teatrem, baletem, muzyką, literaturą. Podobnie jak w ubiegłym roku w dniach trzydziestolecia Polski Ludowej w czasie Dni Kultury Polskiej w ZSRR mieszkańcy Kraju Rad spotykali się z polską sztuką. Poznając wzajemnie dorobek artystyczny naszych narodów poznawaliśmy bliżej siebie — nasze myśli i odczucia, radość i troski.

Dni Kultury Radzieckiej były świętem, festiwalem. Każde święto kiedyś się kończy. Ale przecież z radziecką kulturą spotykamy się co dzień. Kiedy czytamy radzieckie książki, oglądamy filmy, słuchamy muzyki... I trudno byłoby się nam bez tego obejść.

JERZY MAJKA

LUDZIE JAK PTAKI

Dwanaście tytułów drużynowych mistrzów kraju, niezliczona ilość indywidualnych wyróżnień i medali w przeróżnych ogólnopolskich i międzynarodowych zawodach, tytuły wicemistrzów świata — oto plony młodych gimnastyków akrobatycznych KS Targówek z Warszawy. Nie znają lęku wysokości, niczym ptaki wykonują w powietrzu kapitalne ewolucje. Siła, wdzięk, sprawność, estetyka ruchu są ich głównymi atutami.

Gimnastyka akrobatyczna jest młodą dziedziną sportu. Dopiero w roku ubiegłym, odbyły się pierwsze mistrzostwa świata. Ale możliwe, że już podczas moskiewskiej olimpiady akrobatyka wejdzie na stałe do programu igrzysk. Mamy więc ogromne szanse na zwiększenie olimpijskiego dorobku. Wiedzą o tym doskonale „rodzice" tej pięknej dyscypliny w Polsce; małżeństwo Gizela i Konrad Zielińscy. Oni to właśnie, przy pomocy innych doskonałych trenerów Targówka, szkolą warszawską młodzież.

Do sekcji przyjmowani są: dziewczęta i chłopcy już w wieku 9—12 lat. Czeka ich wiele wyrzeczeń, ale za treningowe trudy i mozolną harówkę jest proporcjonalna zapłata: podziw i uznanie wszystkich. (zp)

ZDJĘCIA: MAREK SZYMAŃSKI

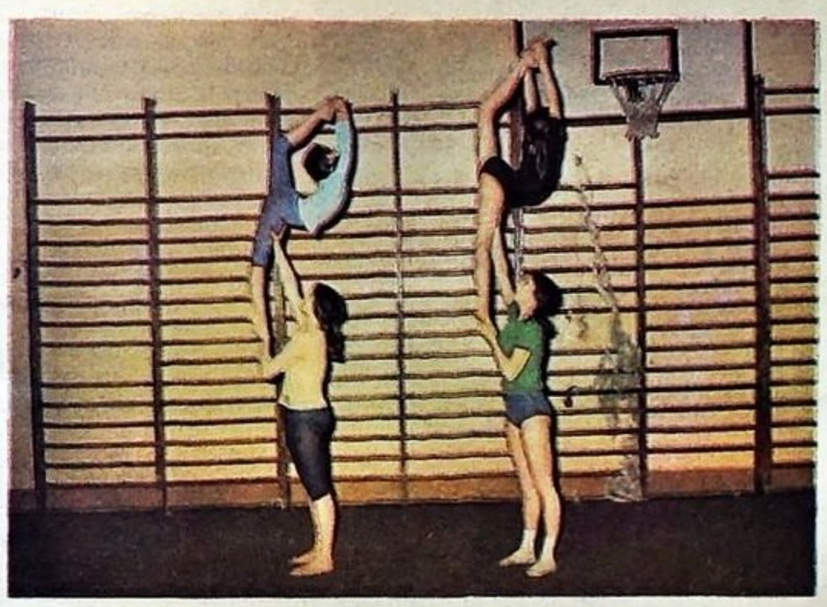

ZIELONA SZKOŁA

KOSZALIN (HSI). Szkołę Podstawową nr 10 nie bez powodu nazywa się tu „zieloną". Jej uczniowie pod kierownictwem nauczycielki biologii rozwinęli szkolny kącik przyrody do nieprawdopodobnych rozmiarów. Hol szkolny przemieniono na oranżerię, gdzie właśnie owocuje olbrzymi cisus. Pochodzi on ze... śmietnika, gdzie kilka lat temu znaleziono wyrzucone przez kogoś pędy. Ponadto uczniowie hodują blisko 200 różnego rodzaju roślin ozdobnych.

13-arowy sad przyszkolny został pięknie zagospodarowany. Rośnie w nim 60 drzewek owocowych. „Parter" zdobią liczone w setki krzewy róż i 200 lilii. Przypuszcza się, że niedługo owoce z drzewek rosnących w sadzie staną się głównym pożywieniem uczniów w czasie śniadań szkolnych. Smacznego! **(mo)**

ODPADKI NA WAGĘ ZDROWIA

NOWA HUTA (HSI). Podczas ostatniego Alertu Hufca Nowa Huta harcerze ze szczepu „Czerwonych Maków" zebrali 1765 kg makulatury, 271 kg szmat, 1240 kg złomu i 540 butelek. Część dochodu uzyskanego ze sprzedaży tych surowców wtórnych przekazano na Centrum Zdrowia Dziecka. Alert odbywał się pod kryptonimem „Gospodarska ofensywa 1975 r.".

Ela Radziszewska

O BEZPIECZEŃSTWO NA DROGACH

KOŹLE (HSI). W Szkole Podstawowej nr 2 prowadzone są na lekcjach zajęcia z zasad ruchu drogowego. Wszyscy zapoznają się ze znakami drogowymi i obowiązującymi przepisami. Uwieńczeniem tych zajęć jest karta rowerowa. Ostatnio zdobyło ją 120 uczniów. **(hr)**

UROCZYSTE SZKOLNE WYBORY

OPATÓW (HSI). W Szkole Podstawowej w Opatowie, pow. Kępno, tradycyjnie, co 2 lata, odbywają się... wybory. Chociaż wybiera się tu tylko samorząd szkolny, wszystko odbywa się dorośle i niezwykle poważnie. Klasa – lokal wyborczy – przystrojona jest w tym dniu uroczyście zielenią, plakatami itp. Przy stole prezydialnym zasiada dyrektor, przedstawiciel komitetu rodzicielskiego, ZHP, oraz byłego samorządu. „Wyborcy" podchodzą kolejno do urn wyborczych oddając swe głosy, tzn. wrzucając koperty z nazwiskami kandydatów. Obowiązują naturalnie stroje galowe. Nie trzeba dodawać, że dzień ten jest szkolnym świętem, dniem wolnym od nauki. **(klim)**

HARCERSKA SŁUŻBA INFORMACYJNA DONOSI

GDZIE SĄ ŚLADY Z TAMTYCH LAT

STARACHOWICE (HSI). Przed paroma dniami zastęp „Powstańców" z 10 szczepu im. Szarych Szeregów zorganizował w ramach harcerskiego „Salutu zwycięstwu" jednodniowy rajd „Szlakami partyzantów". Celem wędrówki miało być odnalezienie partyzanckich grobów, przypomnienie wydarzeń, jakie miały miejsce w tutejszych lasach w czasie wojny, a także ognisko.

Rano, o godzinie siódmej, harcerze zebrali się na przystanku autobusowym. Pojechali na ulicę Nowomiejską, gdyż stąd właśnie odchodzi czarny szlak. Po uroczystym apelu, na którym rozdzielili między sobie zadania, ruszyli w drogę. Oczywiście nie obyło się bez przygód: najpierw zgubili szlak (ale starsza pani pokazała im dojście do szosy), potem zgubili Krzyśka (ale znalazł się 3 km dalej, przy źródełku Langiewicza), a w końcu okazało się, że nie mają zapałek (ale gospodarz jadący furmanką zlitował się nad nimi i odstąpił pudełko).

Pierwszy grób napotkali już po paru kilometrach. Tu rozpoczynał się szlak biało-czerwony, który poprowadził ich następnie do głębokiego, pięknego wąwozu. Przejęli pod swoją opiekę, znajdujący się tutaj tzw. grób zwiadowców. Ten sam biało-czerwony szlak poprowadził ich dalej na uroczysko Wykus. Przy stojącym tu pomniku partyzantów wystawili warty, a kilkadziesiąt metrów dalej – rozpalili ognisko. Gawęda o wojennej przeszłości Kielecczyzny i piosenki wypełniły resztę dnia.

Arkadiusz Rajzer

KWIETNIOWE ZADANIE

KAMIENNA GÓRA (HSI). Każdy harcerz z Kamiennej Góry przepracował w kwietniu 10 godzin, porządkując parki skwery i zieleńce. Potrzebnych narzędzi dostarczył Zarząd Zieleni Miejskiej, głęboko zainteresowany w sprawnej realizacji tego zobowiązania. Miastu z pewnością wyjdzie na dobre ta współpraca.

Zbigniew Dwojak

PROBLEM wynikł w czerwcu 1969 r. bo właśnie wtedy pierwszy raz powinęła mu się noga. Został na drugi rok w tej samej, szóstej klasie. Rok wcześniej pod jego arkuszem ocen umieszczono adnotację: „uczeń leniwy, niedbały". A przecież wtedy uczył się jeszcze całkiem nieźle. W zasadzie pięć pierwszych klas skończył bez większych trudności. Gdyby nie ta szósta... Grubo ponad pięćdziesiąt procent nieobecności na zajęciach stało się bezpośrednią przyczyną niepromowania go do klasy siódmej. Historia powtarzała się trzy razy, aż wreszcie jesienią 1971 roku Wydział Oświaty PPRN w Mławie wyraził

SPRAWA WOJTKA

zgodę na to, aby Wojtek spełniał obowiązek szkolny w szkole wieczorowej dla pracujących. Zezwolenie wydano na prośbę matki. Poinformowano o tym zarówno kierownika jego dotychczasowej szkoły jak i kierownika szkoły dla pracujących.

On tymczasem przestał się w ogóle uczyć

Gdy w rozmowie z nim poruszałem ten temat, wyraźnie unikał odpowiedzi na pytanie, dlaczego przestał się uczyć. Do rozmowy wtrąciła się matka:

— Malował i malował, a do szkoły nie chodził. To jest moja szkoła — mówił.

Początkowo usiłowano stosować wobec niego sankcje administracyjne, ale potem zostawiono po prostu własnemu losowi, a i dziś nie należy do żadnej organizacji młodzieżowej. Żył więc sobie spokojnie na przedmieściach powiatowego miasteczka razem z matką, babką i młodszym bratem w małym, dwupokojowym mieszkaniu, w którym wilgoć błyskawicznie zżera farbę na ścianach. Tam też tworzył swoje pierwsze olejne obrazy.

Zaczął malować jeszcze w pierwszych klasach podstawówki, ale gdy zrezygnował z chodzenia do szkoły, był już pewien, że cała jego przyszłość to malarstwo. W domu zawsze powodziło się częściej gorzej niż lepiej, więc nie mogło być mowy o kupowaniu kosztownych olejnych farb, płócien malarskich czy pędzli. Na wszystko jednak można znaleźć sposób. Trzeba tylko trochę pomysłowości. Plakatówki można przerobić na oleje, worek po mące na doskonałe płótno, a pędzelki można zrobić z końskiego włosia — w końcu w miasteczku jest tyle koni. Tak sobie radząc, malował przez z górą dwa lata. Najczęściej portrety. Często reprodukował starych mistrzów. Leonardo, Michał Anioł — to jego największe autorytety. Przemalował też Poczet Królów Polskich Matejki. Czasami sprzedał jakiś obraz. Miał wtedy pieniądze na farby i książki o sztuce. Kiedyś kupił sobie nawet rozmówki włoskie i próbował przetłumaczyć album o mistrzach Renesansu. Biorąc wzór z Leonarda, zainteresował się też mechaniką. Skonstruował najpierw samolocik, a potem samopał. W dalszym ciągu żył w zapomnieniu. O jego malarskich zainteresowaniach wiedziała tylko rodzina i najbliżsi znajomi. Może zabrzmi to niepedagogicznie, ale swoje „wypłynięcie" zawdzięcza Wojtek przestępstwu.

Pewnego dnia jeden z kolegów zaproponował

— Wojtek, nie podrobiłbyś pieniądza, tak żeby się nikt nie kapnął?

Zagrała malarska ambicja.

Nietrudno się domyśleć, co stało się w ciągu najbliższych kilku dni. Podrobiona tysiączłotówka znalazła się w sklepie, Wojtek dostał swoją „dolę", a do akcji wkroczyła milicja.

Sprawa była poważna. Wojtkowi groziło tymczasowe aresztowanie na czas prowadzenia dochodzenia przygotowawczego.

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

REDAKCYJNA POCZTA

Miła atmosfera

Chcę się wypowiedzieć na temat klasy. Agata i Magda (SM nr 37) oraz Ewa (SM nr 35) twierdzą, że chłopcy są w stosunku do nich wulgarni, brutalni i agresywni. Natomiast w naszej – szóstej – klasie panuje miła atmosfera. Chłopcy są mili dla nas, a my dla nich. Oczywiście nie zawsze jesteśmy aniołkami. Zdarzają się plotki, czasem chłopcy się z nami pokłócą i pobiją, ale po kilku dniach wszystko idzie w zapomnienie.

„Gabi" z Ustki

Wymiana pomysłów

Nasz szkolny samorząd działa dość dobrze. W listopadzie np. uruchomiliśmy Szkolne Centrum Pomocy Koleżeńskiej. Akcja trwa nadal. W ubiegłym roku szkolnym zorganizowaliśmy zbiórkę żołędzi dla zwierząt leśnych, za co otrzymaliśmy od Nadleśnictwa 4 piłki ręczne oraz grę. Ostatnio zaś urządziliśmy kilka spotkań z kombatantami II wojny światowej. Każdy z naszych gości został udekorowany kwiatami. Bardzo cieszymy się z tego, że w naszej gazecie można wymieniać pomysły na pracę szkolnych samorządów.

Nina S. Mrozów

Wiesława Wrześniewska (13 lat). Wyczałkowo, 87-605 Tłuchowo. Chce nawiązać kontakt z rówieśnikami.

Nikt mnie nie lubi...

Mam bardzo dobrych i kochających rodziców i prawie wszystko, co dusza zapragnie. Powinnam być szczęśliwa, prawda? A jednak jestem samotna. W klasie nikt mnie nie lubi, nie chce się ze mną przyjaźnić, dlaczego? Czy dlatego, że nie chodzę na prywatki i imieniny, że nie oglądam się za chłopakami? A może dlatego, że nie ubieram się „krzykząco" i nie maluję się? Czuję się tak samotna, że aż czasem płaczę. Koleżanki i koledzy dokuczają mi, przezywają, czasem nawet ubliżają. Mam 15 lat. Nie skarżę się wychowawczyni, staram się być mimo wszystko koleżeńska. Ale jestem już wykończona nerwowo. Często choruję i nikt mnie nie odwiedza. Mogę być nieobecna nawet i miesiąc, i nikt się tym nie zainteresuje. Dlaczego tak jest?

„Samotny Biały Żagiel" z Krakowa

Od redakcji: Ten list nie świadczy dobrze o koleżankach i kolegach „Samotnego Białego Żagla" prawda? Co sądzą o tej klasie nasi czytelnicy?

Twardy orzech do zgryzienia

Chodzi o to czy powinnam donosić „odpisywać" koleżankom i kolegom, że idzie się dobrze sprawdzianu i klasówki nie spisywać mi klopotów, ale mam takiego pecha, że w klasie siedzi między uczennicami, które choć mogą się nauczyć ... nic chcą. Klasówki są zawsze zapowiadane, lecz koleżanki wolą „odwalić", a ja nie zawsze mogę im przecież twarda powiedzieć „nie", bo dbam o dobre opinie o nich. Ostatnio przestałam odrabiać na dobre lekcje i co ten sprawdzianu dziewczyny obrażają się na amen, jak więc mam postępować w przyszłości?

„Zdegustowana"

TAKA JAK INNE ALE...

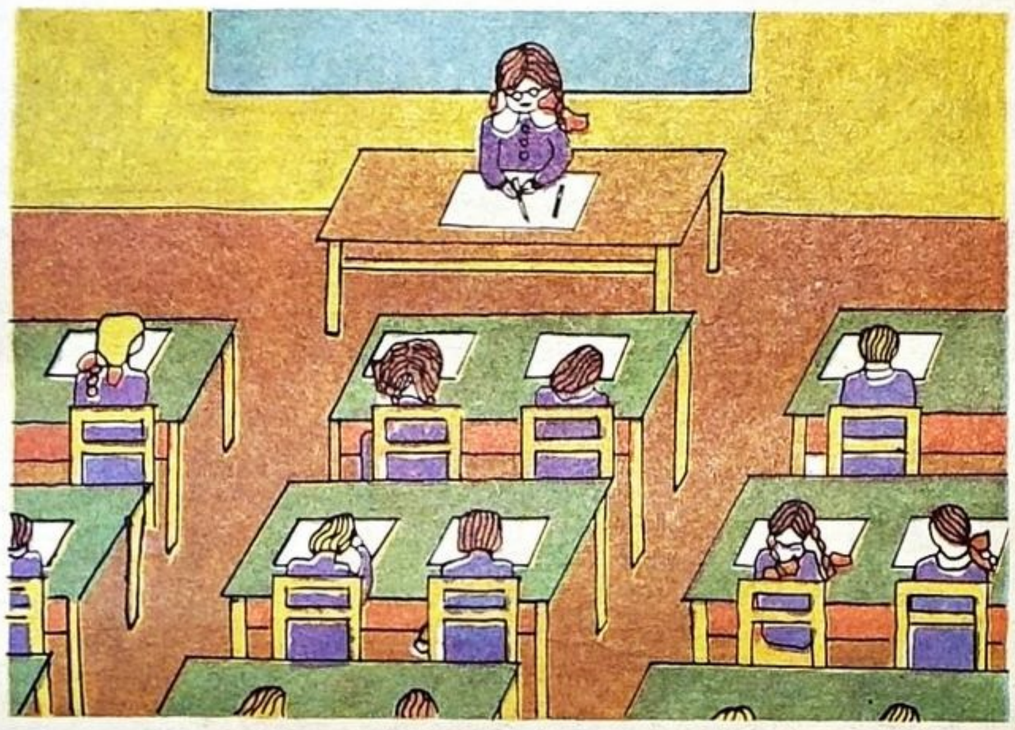

W sali zalegała cisza. Przewodnicząca wertowała plik akt. Oskarżyciel zapisywał coś w grubym notatniku, a zamyślone oblicze obrońcy odzwierciedlało skomplikowany obraz poszukiwań najskuteczniejszej linii obrony dla kolejnego oskarżonego. Poniedziałkowa sesja Sądu Uczniowskiego dobiegała końca, gdy wtem drzwi nieoczekiwanie uchyliły się i ukazał się w nich mężczyzna w średnim wieku trzymający za rękę ośmioletniego chłopca, którego wykrzywiona grymasem twarz wskazywała, że zbiera mu się na płacz.

– ...przedwczoraj mój syn, uczeń pierwszej klasy, przyniósł do domu pudełko kolorowych flamastrów. Zainteresowałem się skąd je ma. Początkowo nie chciał nic powiedzieć ale w końcu przyznał się, że zabrał je swojemu koledze z klasy. Zwróciłem się do Samorządu Szkolnego, który skierował mnie do was. Rozpatrzcie tę sprawę zgodnie z regulaminem szkolnym i własnym sumieniem. Co z nim zrobić? – skończył bezradnie mężczyzna. Twarz chłopca wykrzywiła się jeszcze bardziej, a z oczu popłynęły łzy.

Po krótkiej naradzie i wstępnym przesłuchaniu malca, który przyznał się do przywłaszczenia sobie cudzych flamastrów, tłumacząc przy tym, że uczynił to za namową swojego kolegi, przewodnicząca Sądu – Dorota Rejmańska zaproponowała przesłuchanie świadków i wyznaczyła następny dzień jako termin ostatecznej rozprawy. Uczniowski wywiad pozwolił ustalić, że chłopiec jest jednym z najlepszych uczniów w klasie, a wykroczenie którego się dopuścił było pierwszym w życiu naruszeniem regulaminu szkolnego.

Nazajutrz zapadł wyrok, odpowiedni do szkodliwości czynu, choć wzięto pod uwagę okoliczności łagodzące. Chłopiec musiał odczytać na forum klasowym werdykt sądu. A brzmiał on: „winien".

Takich lub podobnych spraw Sąd Uczniowski Szkoły Podstawowej w Lesku w ubiegłym roku szkolnym rozpatrzył ponad setkę. O skuteczności jego działania w szkole, niech świadczy liczba trzydziestu posiedzeń, na jakich zbierał się Sąd Uczniowski w tym roku.

LEKCJA BEZ NAUCZYCIELA

Na początku roku nauczycielka rosyjskiego musiała służbowo wyjechać do innego miasta. W innych szkołach wyznacza się zastępstwo albo też uczniowie obowiązani są cicho przesiedzieć godzinę lekcyjną. W Lesku odbyło się to i odbywa inaczej. Wtedy wraz z dzwonkiem do klasy weszła z pozostałymi uczniami Bożena Bukowicz. Gdy jej koleżanki i koledzy zasiedli w ławkach Bożena otworzyła dziennik i... zaczęła lekcję. Najpierw lista obecności, potem sprawdzenie przygotowania uczniów (na stopień!) i wszystko dalej odbywało się tak, jak zawsze. Nieobecność nauczycielki nie spowodowała konieczności późniejszego szybkiego nadrabiania braków, a dla samych uczniów nie było to żadną nowością. Takie lekcje zdarzają się bowiem często w sytuacji gdy właściwy nauczyciel jest nieobecny. Zastępuje go wówczas jeden z dwóch wyznaczonych asystentów. A tajemnica dostępności asystentury jest banalna: po prostu trzeba doskonale znać ten przedmiot.

CZY SKANSEN?

Wszyscy asystenci należą do szkolnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Może należeć tu każdy uczeń. Towarzystwo pracuje w sekcjach przedmiotowych, a każdą z nich opiekuje się odpowiedni nauczyciel. Co pewien okres czasu odbywa się prawdziwa sesja naukowa. Pierwsze posiedzenie towarzystwa odbyło się pn. „Spór o Bieszczady" i postawiło pytanie: – Co sądzą o przyszłości Bieszczadów ludzie którzy nie mieszkają tu, a wypowiadają się na ich temat na łamach prasy? Okazało się, że wielu publicystów chciałoby Bieszczady widzieć jako skansen. Z tym poglądem nie zgodzili się uczestnicy sesji gdyż, jak to określiła przewodnicząca towarzystwa Zosia Jakim: „...wielu chciałoby oglądać nas chodzących w butach z lipowego łyka, go samego co inni. Z drugiej zaś strony nie chcemy aby przemysł zniszczył całe piękno regionu. Najrozsądniejszym rozwiązaniem jest dostosowanie gospodarki do warunków Bieszczadów z pełnym oczyszczeniem odpadów przemysłowych..."

Ostatnia sesja towarzystwa dotyczyła powojennej historii Bieszczadów. Jej temat „Pionierzy nowoczesności" pozwolił odnaleźć pierwszych w Lesku posiadaczy samochodów, ciągników, telewizorów i innych mechanicznych urządzeń służących na co dzień człowiekowi.

Z inicjatywy towarzystwa powstała też wystawa „Lesko w starej fotografii" na którą uczniowie wyszperali gdzieś zdjęcia pochodzące aż sprzed I wojny światowej!

SPRAWIEDLIWE DWÓJE

Najczęstszą przyczyną konfliktów szkolnych jest w odczuciu ucznia niesprawiedliwa ocena. Aby przynajmniej w części wyeliminować kontrowersyjne sytuacje nauczyciele i uczniowie wspólnie opracowali regulamin, który dokładnie określa tę dziedzinę uczniowskiego życia. Jeśli uczeń uważa, że dostał dwóję niesłusznie, może odwołać się do swojego wychowawcy lub do pedagoga szkolnego, natomiast gdy otrzymana ocena niedostateczna, nawet w jego mniemaniu jest niepodważalna ma prawo do powtórnego przepytania podczas najbliższej lekcji. Z kolei 17 punkt regulaminu mówi, że poniedziałek jest dniem wolnym od wystawiania ocen niedostatecznych. Oczywiście wszystko to nie znaczy, że w Lesku nie stawia się dwój. Stawia się, tylko jest ich chyba nieco mniej, niż w innych szkołach, a może też są bardziej „sprawiedliwe".

Wiele spraw którymi tradycyjnie zajmują się sami nauczyciele, w Szkole Podstawowej w Lesku przejęła młodzież. Umożliwia to zaufanie, jakie panuje między uczniami i gronem nauczycielskim oraz wzajemna lojalność. Wszystko to sprawia, że na radach pedagogicznych mogą spotykać się partnerzy: nauczyciele i uczniowie, i jak prawdziwi gospodarze myśleć wspólnie o problemach swojej szkoły. Szkoły, która na pozór jest taka jak inne, ale...

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI
Rys. **Urszula Król**

OD „ANTKÓW" DO M-15

Inż. Anatolij Kundieriewicz i inż. Zenon Brodziak przeglądają katalogi normalizacyjne.

NAJPIERW były tu remonty sprzętu częściowo odzyskanego po wojnie, budowa pierwszych traktorów i „Szpak" samolot szkolno-treningowy konstrukcji inżyniera Sołtyka. W 1950 r. mieleckiemu zakładowi przywrócono charakter lotniczy – taki, jaki miał przed wojną. Ten okres był punktem zwrotnym w historii dzisiejszej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu.

W 1958 roku rozpoczęto tu produkcję licencyjnego samolotu AN-2 radzieckiej konstrukcji inż. Antonowa i podpisano umowę eksportową. Kraj Rad stał się wtedy największym naszym odbiorcą. Samolot produkowany w czterech podstawowych wersjach oddał rolnictwu wielu krajów nieocenione usługi.

W lutym 1973 roku wyeksportowano do ZSRR 5-tysięczny samolot. Trochę wcześniej rozpoczęły się w Mielcu przygotowania do budowy polsko-radzieckiego samolotu dla rolnictwa, M-15 z silnikiem odrzutowym. M-15 ma zastąpić popularnego „Antka" chociaż produkcji tego ostatniego nie zaniechano.

Tekst i zdjęcia CAF

Montaż „Antków"

Samolot M-15

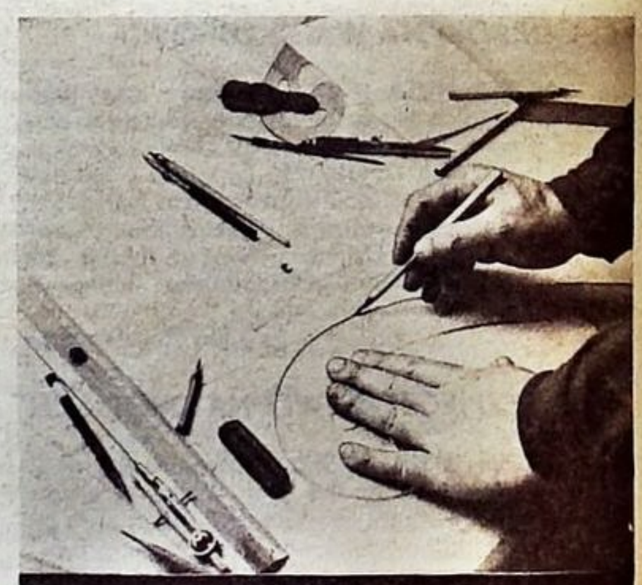

M-15 na desce projektowej

SRI NEPALA SARKAR – KRÓLESTWO NEPALU

TYLU BOGÓW, ILU LUDZI —TYLE ŚWIĄTYŃ, ILE DOMÓW

Nietyczne schody wspinające się z nisko położonej równiny Terai z jej zielonymi dżunglami, aż po niebotyczne szczyty Himalajów. 12 milionów mieszkańców tego kraju reprezentują przedstawiciele 7 grup etnicznych, którzy wyznają jedną z dwóch religii, zaś posługują się trzema językami w dwunastu dialektach. Oficjalną religią państwową jest hinduizm, ale kraj zamieszkuje też wielu wyznawców buddyzmu. A jednak pomimo tylu dzielących ich różnic, mieszkańcy Nepalu żyją zgodnie. Historia tego kraju nie zna bratobójczych walk czy sporów. Nepalczycy nigdy nie walczyli w imię religii czy bogów, zawsze dumni ze swej tradycyjnej tolerancji i niezależności. Ich kraj nigdy nie był kolonią. A jednak nieraz dawali dowody swej odwagi. Chociażby w czasie ostatniej wojny światowej – Gurkhowie (jedno z plemion zamieszkujących Nepal) dzielnie walczyli z boku aliantów.

PODNIEBNA DOLINA

Legenda mówi, że niegdyś dolina Katmandu, otoczona ze wszystkich stron górami, była jeziorem, w którym żyły budzące grozę węże. Aż pewnego dnia zjawił się śmiałek, który rozłupał góry swoim ciężkim mieczem, a woda spłynęła, unosząc ze sobą potwory.

Dzisiaj dolina jest historycznym i kulturalnym sercem królestwa. Stąd wypływa święta rzeka Bagmati, tu znajdują się trzy największe miasta: Katmandu (stolica kraju, położona ponad 1300 m n.p.m.), Patan, Bhadgaon.

Jeszcze dwadzieścia lat temu kraj ten był niemal całkowicie niedostępny dla przybyszów z zewnątrz. Dzisiaj wychodzi z izolacji. 60 proc. importu Nepalu (głównie żywność i surowce mineralne) przypada na Indie, kolejnym partnerem handlowym jest Japonia. A jednak większość mieszkańców żyje tak samo jak przed wiekami, trudniąc się przede wszystkim rolnictwem i handlem.

Domy w Katmandu od wieków buduje się z kafli wypalanych, bądź wysuszanych na wietrze. Dachy pokryte są wypalonymi dachówkami, po bokach mają solidne drewniane rynny. Ziemi uprawnej bardzo tu brak, o każdy jej skrawek trzeba walczyć, toteż domy zajmują niewiele miejsca — pną się przeważnie w górę. Na parterze — pomieszczenia na narzędzia, na pierwszym piętrze — sypialnie, na drugim — kuchnia, a na górze jadalnia i rodzinny pokój do modlitw. Wszystkie te domy są jednak bardzo małe i szczupłość pomieszczenia nie pozwala na towarzyskie spotkania, więc przy skrzyżowaniach dróg, na placach, budowane są specjalne „kluby", gdzie mężczyźni mogą sobie porozmawiać do woli. Kobiety natomiast spotykają się najczęściej przy źródłach, gdzie piorą, kąpią się lub czerpią wodę do picia.

Nie ma chyba w Nepalu mieściny czy wioski, gdzie nie byłoby pagody o wielu dachach, wybudowanej na schodkowej piramidzie. Mieszkańcy Katmandu uważają, że ta szczególna forma architektoniczna jest dziełem właśnie ich przodków.

KIEDY DOJRZEWA RYŻ

W Katmandu rolnictwo to twórczość niemal artystyczna. Przez wieki zbocza gór obrosły tysiącem tarasów, a krajobraz przecięty został siecią kanałów nawadniających. Nie ma tu praktycznie ani jednego skrawka ziemi, który by nie był wykorzystany. Zimą tarasy szarzeją i wtedy łatwiej je dostrzec na tle białych szczytów górskich. Ale ten okres trwa zaledwie parę tygodni. Nadchodzi monsun i cały krajobraz zmienia się w jeden wodospad. A później zaczyna rosnąć ryż — z daleka wygląda jak jasny mech, a kiedy poletka na tarasach stają się złociste i pomarańczowe — wiadomo, że to już pora zbiorów.

Dzisiaj ludzie z Katmandu stoją przed trudnym wyborem: czy żyć z dziedzictwem przodków, ostrożnie unowocześniając kraj, czy też szeroko otworzyć drzwi przed technologicznymi osiągnięciami cywilizacji XX wieku?

Opr. EWA PLUTA

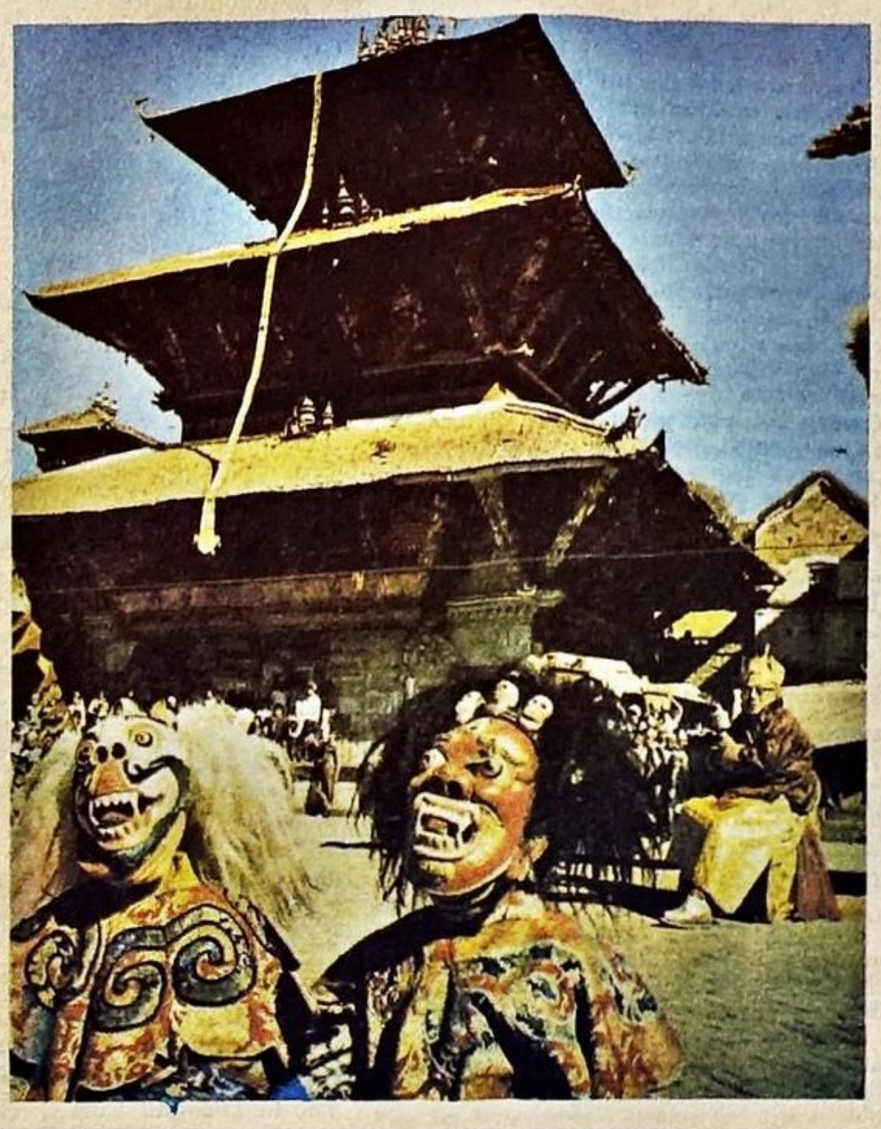

Religijna tolerancja w Nepalu: oto buddyjski lama odprawia modły przed świątynią wyznawców hinduizmu w Bhadgon. Dwaj tancerze ubrali się w stroje i maski przedstawiające buddyjskie demony.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Znaleźli się jednak ludzie, którzy postanowili mu pomóc. Pierwsi zajęli się nim prokurator powiatowy i zastępca komendanta powiatowego MO — przedstawiciele organów ścigania. Później wciągnęli do akcji FSZMP, która wystąpiła do Prokuratury z poręczeniem społecznym. Nie znali go, a jednak po kilku rozmowach postanowili mu pomóc. Umożliwili mu uzyskanie zezwolenia na uczestniczenie w zajęciach klasy ósmej szkoły wieczorowej dla pracujących i zdawanie egzaminu eksternistycznego z zakresu szkoły podstawowej. Pomagają mu też w nauce. Ponadto koło zakładowe ZMS w tamtejszej fabryce obuwia zapewniło mu wygodną pracownię i obiady w przyzakładowej stołówce. W zamian za to Wojtek udekoruje miejscową świetlicę i klub. Tylko dlaczego trzeba było aż przestępstwa, aby zainteresowano się nim?

SPRAWA WOJTKA

Organizacje młodzieżowe są prawie usprawiedliwione — nic nie wiedziały o istnieniu malarza — nieuka. Ale co przez te dwa lata robiły władze oświatowe? Monitowały. Wysyłały napomnienia, kazały płacić grzywny.

— Wszystko zgodnie z przepisami — zapewnił mnie wiceinspektor powiatowy. Nie umiał też wyjaśnić dlaczego o zaistniałej sytuacji nie poinformowano organizacji młodzieżowych. Zapewne prościej było wysyłać gotowe już druczki, niż pójść... do budynku mieszczącego się po drugiej stronie rynku, gdzie ma swą siedzibę Rada Powiatowa FSZMP.

W kilka tygodni po...

....przyjęciu poręczenia FSZMP przez Prokuraturę Powiatową w mieście pojawiła się dziennikarka z Warszawy. Rozmawiała z Wojtkiem i z porucznikiem, który się nim opiekował. Później pojawili się następni przedstawiciele prasy. Do Wojtka dobijali się dziennikarze z radia i telewizji. Stał się centralną postacią miejscowego życia. Z odległych krańców Polski zaczęły napływać propozycje intratnej współpracy. Zafascynowanie wzrastało bardzo szybko. Mało brakowało, a na skrzydłach owej fascynacji stałby się powiatowym bohaterem.

Autentyczną wstrzemięźliwość wykazują tylko ludzie, którzy najwięcej mu pomogli.

— Wojtka czeka na razie proces — mówi prokurator — a sąd jest niezawisły, kara może być wysoka, chociaż będziemy się starali o uwzględnienie młodego wieku i dotychczasowej niekaralności oskarżonego.

Obaj opiekunowie mają dużą pretensję do ludzi, którzy robiąc wokół sprawy niepotrzebny rozgłos, utrudniają pracę wychowawczą.

— Ta sława zaczyna mu uderzać do głowy — mówi z-ca komendanta MO. Teraz jednak uczy się, i to całkiem dobrze; współpracuje z organizacjami młodzieżowymi. Dziś już wiemy, że czyn, którego się dopuścił, nie leżał w jego usposobieniu. Był naturalną konsekwencją nacisku środowiska, w którym się obracał oraz braku opieki pedagogicznej ze strony szkoły i jej organizacji.

Wojtek nigdy nie ciągnął do ludzi, raczej starał się od nich odseparować, jednak ci wśród których się obracał, byli silniejsi. Raz jeszcze sprawdziło się twierdzenie, że młodzież trudna wywodzi się z „trudnych środowisk".

Przez dwa dni niepokoiłem miejscowe władze, zadając im wciąż to samo pytanie: kto zawinił?

A może to pytanie powinni sobie zadać koledzy Wojtka? Przecież większość z nich to normalnie ucząca się młodzież? Pomoc rówieśników może często więcej niż najmądrzejsza nawet uwaga ze strony pedagoga etatowego.

JACEK ZAKOWSKI

ZWIERZĘ Z LEGEND I BAŚNI „O WILKU MOWA"

CZĘSTO słyszymy: „głodny jak wilk", „wilcze gardło", „człowiek człowiekowi wilkiem", „wilk w owczej skórze". Trujące zioła to wilcza jagoda i wilczomlecz. Wszyscy znamy bajkę o trzech świnkach i dużym złym wilku, a także o wilku i Czerwonym Kapturku. Czytamy książki Londona i Curwooda, w których jako najstraszniejszą przygodę samotnego człowieka na dalekiej północy opisuje się spotkanie z głodnym wilczym stadem.

I choć w Polsce żyją te straszne zwierzęta, to od niepamiętnych czasów... nie zdarzyło się by kogoś pożarły, czy choćby pogryzły. Do niesłychanej rzadkości należy spotkanie z wilkiem w lesie lub ujrzenie go na wolności, choć z daleka. Jak więc wygląda prawda? Skąd wzięły się te przysłowia, kto wymyślił mrożące krew w żyłach historie, dlaczego właśnie wilk, a nie na przykład niedźwiedź został uznany przez ludzi za „czarny charakter" wśród zwierząt?

GNIEW I STRACH

Wilk od wieków budzi w nas gniew i strach. W czasach najdawniejszych był tylko konkurentem człowieka w polowaniu, budząc zazdrość swoją sprawnością. Ale póki ludzi było mało, a zwierzyny w lesie dużo, konkurencja nie była ostra. Zdobyczy starczało dla wszystkich. Później jednak ludzie nauczyli się hodować zwierzęta domowe, które dostarczały pożywienia w sposób pewniejszy i mniej kłopotliwy. Niestety, również i dla wilków zwierzęta hodowane były zdobyczą łatwiejszą niż dzikie. Nie potrafiły tak szybko biegać i były zgromadzone w jednym miejscu. I zapewne wtedy rozpoczęło się bezlitosne tępienie wilków przez człowieka.

Wilk nie był jedynym drapieżnikiem napadającym na zwierzęta domowe. Wyrządzał szkody także niedźwiedź i ryś. Ale niedźwiedzia dość łatwo było wytropić i zabić, rysie nie odchodzą daleko od lasu, natomiast polowanie na wilki często było bezskuteczne. I kosztowało mnóstwo trudu. Trzeba było budować skomplikowane pułapki – zagrody, kopać „wilcze doły", otaczać całe kilometry lasu tzw. fladrami. A sprytne i czujne wilki często odgadywały zamiary ludzi i cały ten wysiłek szedł na marne. I znowu komuś znikało parę owiec. Dlatego człowiek nie tylko tępi wilki ale i nienawidzi ich.

INTELIGENTNIEJSZY OD PSA

My ludzie mamy taki przykry zwyczaj, że jeśli kogoś nie lubimy, wymyślamy o nim masę brzydkich rzeczy. I staramy się przypisywać mu te cechy, które uważamy za negatywne w nas samych.

Wilki są bardzo inteligentne, niektórzy badacze uważają, że nawet inteligentniejsze od psów. Ale w ludzkich bajkach wilki nie są inteligentne tylko „podstępne". Prześladowany przez setki lat wilk stał się zwierzęciem bardzo ostrożnym, więc mówimy, że jest „tchórzliwy". Nikt nie lubi żarłoków, więc przypisuje się wilkowi przysłowiowe „wilcze gardło" chociaż nigdy nikt nie widział tłustego wilka-obżartucha. Zresztą kto z nas zdołałby utyć, gdyby musiał tak jak większość wilków, przebiegać codziennie piechotą około 50 kilometrów?

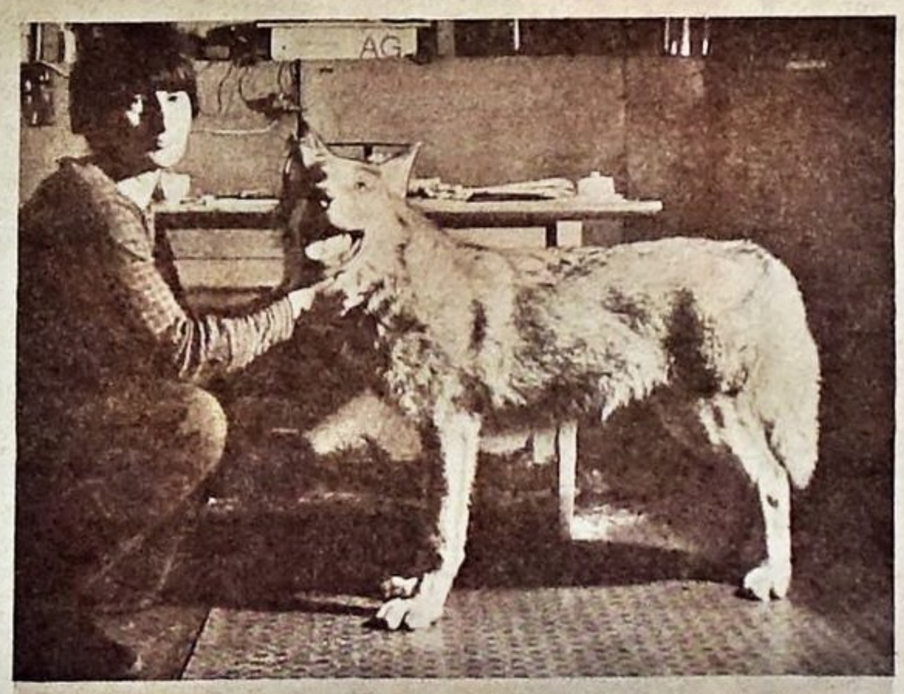

Tego wilka gościliśmy u nas w domu. Najbardziej kłopotliwa była jego... ciekawość, wskakiwał na wszystkie meble aby obejrzeć każdy szczegół w mieszkaniu od podłogi po sufit!

To prawda, że wilk dużo je. Jeżeli coś upoluje, potrafi zjeść na raz nawet dziesięć kilo mięsa. Ale jeśli trzeba, może nie jeść nic przez dwa tygodnie, a nawet miesiąc! I zachowuje przy tym siły, żeby coś upolować, kiedy w końcu zdarzy się okazja!

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

GWIAZDOZBIÓR

Moja ulubiona aktorka — BARBARA KRAFFTÓWNA

TYTUŁ dzisiejszego Gwiazdozbioru brzmi jak wypracowanie domowe, ale bo też i zaczął się od szkolnego zadania. I chociaż szkołę na szczęście mam już dawno z głowy, to jednak od czasu do czasu odrabiam „polaka" z moją nastoletnią sąsiadką. Zbliżał się doroczny Międzynarodowy Dzień Teatru i Zosia wpadła do mnie z prośbą o ratunek.

— Mam napisać o swoim ulubionym aktorze, a przecież wiesz, jaka jestem noga...

— Ale chyba masz swojego ulubionego aktora, wszystkie dziewczyny mają — próbowałam się bronić, przeczuwając, co mnie może czekać.

— Nie znasz mnie, jestem nietypowa. Łatwiej byłoby... Poczekaj, polecę po magnetofon i nagram wywiad z tobą o twoim ulubionym aktorze...

Nim zdążyłam zaprotestować, Zośka już wybiegła na klatkę schodową, przeskoczyła jedno piętro w tę i z powrotem, i dysząc z biegu i emocji podsuwała mi pod nos mikrofon.

— Kiedy idziesz do teatru, cieszysz się, że zobaczysz ciekawą sztukę czy też ulubionego aktora w nowej roli? — strzeliła pytaniem oczekując ode mnie odpowiedzi.

— Różnie bywa. Często zdarza mi się i jedno, i drugie. Powiem ci szczerze, że nie uważam, jak sądzą niektórzy, że przeżywamy dziś zmierzch gwiazd, że dziś chodzi się do teatru na sztukę, a nie na aktora. — Cóż z tego, że gra znakomity aktor, gdy sztuka do bani — mówią zwolennicy wyrównanej gry całego zespołu. A ja się zastanawiam, czy chciałoby mi się oglądać „Hamleta" po raz nie wiem który, gdyby za każdym razem nie był to egzamin innego znanego mi aktora? Dziś w dobie galopującej cywilizacji, technizacji, standaryzacji i unifikacji, indywidualność aktora nabiera szczególnej ceny, może chroni coś cennego, jest gwarancją zachowania tego, co ludzkie... Aktor, jego talent, osobowość, jest jeszcze bardziej odczuwalna zwłaszcza w teatrze, gdzie ogląda się go na żywo w tym właśnie momencie, nie z taśmy filmowej. To bezpośrednie obcowanie z indywidualnością aktorską jest dla mnie zawsze wielkim świętem.

— A z którym aktorem najchętniej obcujesz, oczywiście w teatrze? — z szelmowskim uśmiechem pytała Zośka dalej.

— Cóż, w Polsce konstelacja aktorskich gwiazd jest bardzo bogata. Mogłabym ci wymienić nazwiska wielu aktorów i każdy z nich jest moim ulubionym, każdego zawsze chętnie oglądam.

— Podaj jednego, no, na przykład na literę K.

— Krakowska, dwóch Kowalskich, Kobuszewski, Krafftówna.

— O, Barbara Krafftówna, też ją bardzo lubię. Pamiętasz w filmie „Kłopotliwy gość"...

— W wielu filmach grała: „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Sprawa do załatwienia", „Popiół i diament", „Ich dzień powszedni", „Nikt nie woła", „Dziś w nocy umrze miasto", a przede wszystkim „Jak być kochaną" Za rolę Felicji dostała nagrodę na festiwalu w San Sebastian. Był to bardzo interesujący film. Powstał w oparciu o opowiadanie Kazimierza Brandysa. Jest to jakby monolog wewnętrzny kobiety-aktorki z okresu wojny i okupacji. Postać dramatyczna i film wzruszający. Krafftówna to aktorka wszechstronna. Grała w farsach, komediach, wszyscy pamiętają ją śpiewającą w telewizyjnym Kabarecie Starszych Panów. Estrada, telewizja, film, teatr — wszędzie czuje się dobrze i wszędzie jest dobra.

— Co ci się w tej aktorce podoba najbardziej?

— Trudno powiedzieć co najbardziej. Cenię jej rzemiosło aktorskie, umiejętności techniczne. Na scenie czy na estradzie, zawsze jest u siebie, swobodna, świadoma swych środków, ale jej pewność siebie nigdy nie objawia się tupetem. Ma swój styl gry i jakiś rodzaj wyobraźni, który mi odpowiada. Tak świetnie pasowała do atmosfery Kabaretu Starszych Panów z jego absurdalnym humorem, nieokiełznaną wyobraźnią, ingerencją światów wymyślonych w rzeczywistość. Coś podobnego tkwi w atmosferze sztuk Witkacego i Gombrowicza, i zapewne dlatego częste jej role w sztukach tych pisarzy: „W małym dworku", „Kurka wodna", „Matka" Witkacego, „Iwona, księżniczka Burgunda" Gombrowicza. Lubię jej charakterystyczny głos, uśmiech i nie mizdrzący się, a raczej poetycki wdzięk...

— Jak dawno występuje?

— Zaraz... debiutowała w filmie Jana Rybkowskiego „Sprawa do załatwienia" w roku 1953, a już przed tym od paru lat grała w teatrze. Jest w zespole teatru Współczesnego w Warszawie.

— Czy Krafftówna jest panną?

— Nie. Ma dorosłego syna. Mąż jej zginął w wypadku samochodowym kilka lat temu. Ale dlaczego pytasz, co to ma do rzeczy?

— Zmyliła mnie ta końcówka nazwiska, rozumiesz. Teraz wszystko jasne, panieńskie nazwisko stało się jej nazwiskiem scenicznym. Nieważne. Co mogłabyś jeszcze powiedzieć?

— Chciałabym ci przeczytać na zakończenie fragment wypowiedzi samej aktorki. Posłuchaj:

„...nieprzepartą miłością, połączoną z przywiązaniem, obdarzam pracę w mojej profesji... Aktorstwo odziera nas ze wszystkiego, ale nie zabija naszej osobowości. Okres prób na scenie czy przed kamerą jest okresem twórczości. Obudowujemy suchy tekst elementami wybranymi spośród dziesiątek możliwości dla świadomej wyselekcjonowanej formy. Nad sytuacją, przekazem, a potem nad widzem i słuchaczem panuje wyobraźnia. W jakiś sposób nad wszystkim panuje wrażliwa wyobraźnia..."

BARBARA TYLICKA

5 minut

MAGDY

POJUTRZE święto. Lubię 1 Maja. Gdybym nie mogła iść tego dnia na pochód, byłabym nieszczęśliwa. Wcale nie przesadzam. W naszej drużynie ten dzień, to inauguracja sezonu letniego. Dla mnie zresztą data ta od najwcześniejszego dzieciństwa kojarzy się z inauguracją sezonu... lodowego. Bo to było tak: nigdy w kwietniu — choćby nie wiem jak było ciepło — rodzice nie kupili mi lodów. „Za zimno, to jeszcze nie lato, zachorujesz na anginę, co za pomysł" — mówili. Za to 1 Maja, na pochodzie, choćby nie wiem jak było zimno, to lody dostawałam. I potem było już wiadomo — sezon lodowy rozpoczęty, można lizać bez względu na pogodę! Pewnie dlatego tak lubię ten dzień i pewnie dlatego do końca życia będzie mi się kojarzył z czymś przyjemnym. Wiadomo, lody to dla każdego frajda, nie?!

Teraz to już trochę coś innego. Różne „Bambina" i „Calypsa" są w sklepach przez całą zimę, no, a jak są, to się je i je, w związku z tym inauguracja sezonu dotyczy innej sprawy. Zaczęło się to w VI klasie, gdy po raz pierwszy nasz zastęp dostąpił zaszczytu wymarszu wraz z całą drużyną na pochód. Zaś, jako że harcerze idą u nas w pochodzie na początku, to wszystko wcześnie się skończyło i tak nam się jakoś wcale nie chciało iść do domu. Ktoś rzucił pomysł, żeby się wybrać za miasto. Fajnie było — wygłupialiśmy się, ganialiśmy jak opętani, szkoda tylko, że nie było nic do jedzenia. Następnym razem, czyli w ubiegłym roku, przygotowaliśmy się do tej wyprawy wcześniej. W szkole był przygotowany sprzęt biwakowy i jakieś mniej świąteczne ciuchy, zaraz po pochodzie ruszyliśmy po to do szkoły i na biwak. W tym roku też się do biwaku już od paru tygodni szykujemy. Mamy nawet umówiony nocleg na sianie, bo nasza klasa idzie w piątek dopiero na 3 lekcję, więc będziemy mogli zostać tam na noc. To prawie jak obóz letni będzie, prawdziwa inauguracja sezonu wycieczkowo-biwakowo-wakacyjnego. I dlatego tak się cieszę, że to już pojutrze.

Mój tata, to się wykrzywia na mnie z tego powodu. Mówi, że mnie tylko przyjemności w głowie, a 1 Maja, to przecież manifestacja i poważna sprawa, Bo ja wiem. Może dla niego faktycznie to tak jest i dla babci, która wspomina przedwojenne czasy, jak to wtedy 1 Maja bywało, i dla dziadka, i dla wszystkich innych starszych ludzi. Ale ja jakoś nie mogę, staram się, ale nie potrafię tak myśleć, dla mnie to naprawdę tylko przyjemność, takie prawdziwe radosne święto. Czy to źle?! Czy naprawdę to znaczy, że jestem osobnikiem absolutnie bezideowym?!

MAGDA

„O WILKU MOWA"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Przysłowia o wilkach i przerażające o nich historie przekazuje się z pokolenia na pokolenie od setek lat. Tymczasem wilków jest coraz mniej. W wielu krajach europejskich wytępiono je już sto lat temu. U nas, w Polsce jest ich już mniej niż żubrów. I tylko na Syberii, w Kanadzie i na Alasce jest jeszcze dużo wilków.

Czy dzisiaj zwierzę to jest jeszcze szkodnikiem? Owszem, zdarza się czasem, że zje owcę, lub włóczącego się w lesie psa. Ale wilków jest tak mało, że straty te są nieznaczne. Zwykle zające czy sarny wyrządzają rolnikom straty wielokrotnie wyższe. Zresztą wilk przez setki lat prześladowań nauczył się unikać bliskości człowieka i tylko w ostateczności zbliża się do siedzib ludzkich.

DRAPIEŻNIK NIE JADA DRAPIEŻNIKÓW

W lecie wilk najczęściej zjada drobne zwierzęta leśne, nawet tak małe jak myszy czy żaby. W zimie — kiedy małe zwierzęta w większości śpią lub nie wychodzą ze swych kryjówek musi napadać na sarny, jelenie, czasem nawet dziki lub łosie. Ale jest to dla wilka trudna zdobycz. Dlatego najczęściej atakuje zwierzęta najsłabsze, bardzo młode, lub przeciwnie, stare, albo chore. W ten sposób wyrządza więcej pożytku niż szkody, bo zapobiega *rozprzestrzenianiu się różnego rodzaju* chorób epidemicznych i nie dopuszcza do rozmnażania zwierząt wątłych i słabych. I prawie nigdy nie napada na człowieka. Dlaczego? To bardzo proste. Zarówno wilk jak i człowiek są... drapieżnikami. A żadne ze zwierząt drapieżnych nie żywi się swoimi konkurentami, nawet jeśli czasem zdarza się że z nimi walczy. Na przykład ryś gdy spotka w lesie swojego konkurenta — żbika, zabija go, ale nie zjada. Ludzie również nie polują na wilki dla zdobycia mięsa, a wilk nie umie polować na człowieka. Uczy się tylko od swoich rodziców zdobywać pożywienie i później całe życie poluje w ten sam sposób, i na te same zwierzęta. Człowiek bowiem nigdy nie był zwierzyną dla wilka. Nawet w takim kraju jak ZSRR, gdzie zawsze było i nadal jest dużo wilków, nie ma w okresie ostatnich stu lat udokumentowanego zapisu, że naprawdę ktoś został napadnięty i zjedzony przez wilki. Straszne opowiadania to na ogół tylko wynik naszego strachu przed zwierzęciem, które do niedawna było człowiekowi bardzo mało znane. Nawet leśnicy i myśliwi opowiadali o wilkach mnóstwo dziwnych rzeczy, które po zbadaniu okazywały się zwykłymi bajkami.

WILK — PRZYJACIEL CZŁOWIEKA

Naprawdę zaczęto badać wilki zupełnie niedawno. Jednym z pierwszych uczonych, który się tym zajął był profesor Bernard Grzimek, ten sam, co nakręcił filmy „Serengeti nie może umrzeć" i „Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt". Oswajał on wilki i trzymał je w domu jak psy. I okazało się, że wilk jest bardzo miłym towarzyszem człowieka. Tak samo jak pies potrafi stać się członkiem ludzkiej rodziny i traktować ludzi jak swych najbliższych. Ja także trzymałam w domu wilka. Niestety w środku wielkiego miasta nie można było zapewnić mu wszystkiego czego potrzebował i musieliśmy z tego zrezygnować. Ale mamy jak najmilsze wspomnienia. Było to piękne i przemiłe zwierzę. Nie radzę jednak próbować tego nikomu, kto nie zna się dobrze na dzikich zwierzętach i ich obyczajach. Bo nawet oswojony wilk nie staje się automatycznie zwierzęciem domowym. Na to trzeba by setek lat hodowli wielu pokoleń. Jeśli więc nie zna się jego potrzeb może dojść do przykrych konfliktów, które najczęściej kończą się dla zwierzęcia tragicznie. Czytaliście może smutne opowiadanie A. Dygasińskiego „Wilk, psy i ludzie"? Tam właśnie opisano taką sytuację. Podobne przypadki zdarzają się także dzisiaj. Znamy taki fakt, kiedy ludzie, którzy pragnęli trzymać wilka bali się go, nie potrafili naprawdę oswoić i w rezultacie przykuli na stałe do łańcucha (patrz fotografia), co jest dla dzikiego zwierzęcia prawdziwą męczarnią.

Ten biedny wilk swój samotny los zawdzięcza brakowi zrozumienia zwierzęcia przez ludzi, którzy go trzymają.

Portret młodego wilka.

Jeśli wyda wam się kiedyś w lesie, że widzicie wilka — o ile będzie to naprawdę wilk, a nie włóczący się pies owczarek — nie bójcie się, ale nie podchodźcie też za blisko. Dzikie zwierzę które pozwala zobaczyć się i zbliżyć człowiekowi, jest zwykle chore. Nie potraficie mu pomóc, i tylko narażacie siebie na niebezpieczeństwo pokąsania.

Domicella Bożekowska

zdjęcia autorki

2 AUGUSTA

Dziś zainteresowała mnie sprawa wiejskiej drogi, o miękkiej, żwirowej nawierzchni. Całą jesień, wiosnę i długoroczną zimę na drodze tej stały błotniste kałuże, nie wysychające przez kilka miesięcy. Tak było od czasu, odkąd na wieś wkroczyła mechanizacja. Ciężkie traktory i maszyny rolnicze porżnęły drogę w głębokie koleiny, zawsze wypełnione błotnistą mazią. W jaki sposób młodzież przedostawała się do szkoły i kobiety do sklepu – lepiej nie mówić.

W tym roku postanowiono zająć się tą sprawą. Ostatecznie to nic wielkiego. Kilkanaście przyczep żwiru i będzie można jako tako przejść „suchą nogą".

Od 7 marca wzięliśmy się z zapałem do pracy. Młodzież, i nie tylko, bo również starsi gospodarze, uwijali się aż miło.

– No, nareszcie – pomyślałam. – Zamiast popijać piwo, wzięli się do jakiejś pożytecznej roboty.

Tak się złożyło, że dziś musiałam iść do koleżanki, ponieważ nie miałam podręcznika do historii. Przechodząc obok pracujących, zauważyłam, że nie wszyscy robią to, co powinni. Z boku stała niewielka grupka mężczyzn palących papierosy dyskutujących ironicznie na temat tych, którzy pracowali. Co gorsze, nie wyrażali się o nich zbyt pochlebnie. Zdziwiło mnie to. Podeszłam więc do nich.

– Bardzo przepraszam. Czy panowie mogliby mi wyjaśnić, dlaczego nie pomagają sąsiadom? – zapytałam.

Spojrzeli na mnie ironicznie, a jeden z nich odezwał się gburowato.

– Co mnie do tego? Co ja tam będę się przemęczał, żeby jeden z drugim taksówką mógł wyjechać. Ja wozem i tak przejadę, a moja baba do sklepu w gumiakach też dojdzie...

Spodziewałam się tego. Pomyślałam, że lepiej się nie wtrącać, bo i tak ich nie przekonam, a jeszcze mi się oberwie. Uśmiechnęłam się tylko.

Panowie! Jeśli wy tak będziecie rozumować, to na pewno daleko nie zajedziecie!

HANNA MARUSZEWSKA

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

DALEKO NIE ZAJADĄ

Na początku pragnę podziękować chief'owi „Klubu Saturn" z Brzegu, Krzysztofowi Iwańczukowi – za odznaczenie mnie znaczkiem klubu. Przesyłka nadeszła w idealnym stanie, a znaczek Wasz będzie dla mnie miłą pamiątką.

Uwaga, Piotr Gabryel z Kościana – nie mogę sobie wyobrazić na czym miałby polegać twój konkurs. Kto miałby zostać zwycięzcą? Czy ten, kto lepiej uzasadni wybór swojej ulubionej książki, czy też pisarz, który zyska najwięcej głosów? Sprecyzuj dokładnie swój zamysł. Tymczasem zapraszam Was do lektury o Wenus – najbardziej „skrytej" planety – jak nazwał ją „Ganimed".

Prezes Tomika
ST. BOROWIECKI

ZNACZKI TOMIKA otrzymują:

Tomasz Nejkaut, ul. Mickiewicza 41/3; 26-946 Pionki; **Andrzej Ptaszek**, ul. Kruczkowskiego 10/12, 42-400 Zawiercie; **Ireneusz Galęba**, ul. Górnicza 4/26, 62-510 Konin; **Janusz Mikitin**, ul. Mickiewicza 7/1, 41-700 Ruda Śl., **Bogdan Cyrulik**, ul. Kwiatowa 5/2, 85-047 Bydgoszcz; **Jerzy Sztąberek**, ul. Pułaskiego 73/22, 50-444 Wrocław; **Mirosław Węgrzyn**, ul. Manifestu Lipcowego 8/46, 39-200 Dębica; **Piotr Lisowski**, ul. Bieruta 23/A, 23-210 Kraśnik Fabr.; **Mieczysław Kozicki**, 18-508 Surały, pow. Kolno; **Mirosław Kowalczyk**, ul. Włókniarzy 26/31, 34-120 Andrychów; **Hanna Kamińska**, ul. Księcia Witolda 100, 85-507 Bydgoszcz; **Eugeniusz Bieliński**, ul. Nowotki 8/45, 08-110 Siedlce; **Mariusz Latawski**, ul. Krakowska 131/3, 33-100 Tarnów; **Teresa Tyszkiewicz**, ul. Wiejska 4 – 12-221 Ruciane-Nida; **Piotr Mazurek**, Oś. Na Wzgórzach 29/58, 31-725 Kraków; **Marek Olczak** – Aleja Wyzwolenia, bl. 31, m. 10, 97-300 Piotrków Tryb.; **Sabina Janczak**, ul. Daszyńskiego 1/7, 63-300 Pleszew; **Arkadiusz Wróbel**, ul. Spółdzielcza 3, m. 24, 26-600 Radom; **Wiktor Wojewódzki**, ul. Krzywe Koło 14/16/18 m. 5, 00-270 Warszawa.

NAJBARDZIEJ „SKRYTA" PLANETA

ISZTAR – matką bogów i jasną pochodnią niebios nazywali Babilończycy planetę znaną nam dzisiaj pod imieniem Wenus. Isztar miała wielką świątynię w Niniwie – była opiekunką życia. Bogini kochała Tammusa, opiekuna roślin – zakwitających co rok na nowo, symbol zmartwychwstania. Kiedy pewnego razu dzik zabił Tammusa, Isztar zeszła za nim do podziemia. Wówczas pozbawione jej opieki życie na Ziemi zaczęło ginąć – przerażeni bogowie musieli wskrzesić Tammusa, a Isztar powróciła znów na niebo, stając się Gwiazdą Poranną.

Wenus – planeta mitów i legend, zadziwiająco podobnych w różnych kręgach kulturowych od dawna ciekawiła uczonych także jako jeden z obiektów Układu Słonecznego. Bowiem pod niektórymi względami jest to glob wyjątkowo podobny do Ziemi. Masa Wenus stanowi 0,81 masy Ziemi, objętość 0,92 objętości Ziemi. Również siła ciężkości na Wenus niewiele różni się od ziemskiej (np. człowiek ważący na Ziemi 76 kg, ważyłby na Wenus 66,5 kg – a np. na Marsie już tylko 27,3 kg). Ta dziwna planeta wiruje jednak w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu Ziemi, a doba wenusjańska odpowiada 243,9 doby ziemskiej. W pewnych momentach Wenus najbardziej ze wszystkich planet zbliża się do Ziemi. Jednocześnie jest ciałem niebieskim wyjątkowo nieprzystępnym dla obserwacji, otacza ją bowiem stale nieprzeniknięta warstwa chmur, wirujących pod wpływem potężnych huraganów. Jest także możliwe, że nieprzezroczystość wywołują ruchy gazów atmosfery, natomiast nie ma tam chmur w znaczeniu ziemskim. Wielu astronomów widziało na powierzchni Gwiazdy Porannej dziwne cienie i przejaśnienia zwane „obszarami ciemnymi" i „obszarami jasnymi", a także u wierzchołków jej tarczy, świetliste plamy zwane „czapkami". Nieznana jest natura owych ciemnych i jasnych obszarów. Być może, są to obrazy związane z dymami lub pyłami wulkanicznymi, lub nawet z niewyraźnymi szczegółami powierzchni planety – pisze Patrick Moove. Pewne jest wszakże istnienie „białych czapek" niknących i pojawiających się w nieregularnych odstępach czasu. Ale pewne jest także, że są one czymś innym niż lodowo-śnieżowe polarne czapy Ziemi.

Głównym składnikiem sfery Wenus jest najprawdopodobniej dwutlenek węgla – pisał w 1956 r. wspomniany dr Moove. Poza tym, znajduje się tam para wodna i być może tlen. Olbrzymie ilości Co2 zatrzymują ciepło Słońca – zatem przy powierzchni planety powinno być bardzo gorąco. Radziecki astronom, J. Szkłowski, pisał: „W temp. 300°C przy powierzchni Wenus powinno panować dość duże ciśnienie atmosferyczne". H. Ureg uważał, że na Wenus nie ma dziś zupełnie wody, chociaż dawniej musiały tam istnieć olbrzymie oceany.

Jest rzeczą godną podziwu, że główne hipotezy astronomów na temat Wenus zostały właśnie potwierdzone przez sondy kosmiczne, chociaż budowane były na niezwykle kruchych i niejasnych podstawach obserwacyjnych.

Jest rzeczą oczywistą (niestety) że na Gwieździe Porannej nie ma Wenusjan, najpewniej nie ma tam w ogóle wyższych form życia. W każdym razie istnienie prymitywnych drobnoustrojów możliwe jest nawet w tak niesprzyjających warunkach. Zdaniem Harolda Vreya, życie, nawet dość rozwinięte niegdyś tam istniało. Inni uważają, że istnieje i dziś, ale w oparciu o inne związki chemiczne niż na Ziemi. Idea ta jest bardzo pociągająca. Wydaje się że na ostateczne rozstrzygnięcie tej kwestii wypadnie nam poczekać do lotów załogowych na Wenus. Sondy kosmiczne dostarczyły informacji o warunkach tam panujących: temp. 475 stopni C (± 20°C), ciśnienie 90 atm. (± 15 atm.) gęstość atm. 60-krotnie większa niż na Ziemi. Istnienie na Wenus tak radykalnie odmiennych od ziemskich warunków atmosferycznych jest trudne do wyjaśnienia.

„Ganimed"

Ten rysunek – na pozór fantastyczny – dość wiernie przedstawia Wenus w otoczeniu jej atmosfery. Informacji do tego rysunku dostarczyła bowiem radziecka sonda „Wenus–7".

MINI ENCYKLOPEDIA

Aktywność Słońca – zespół zmiennych, krótkotrwałych zjawisk występujących na Słońcu, związanych z wyzwalaniem energii w jego wnętrzu. Należą do nich między innymi plamy słoneczne, pochodnie, wyskoki, rozbłyski itp. Aktywność Słońca zmienia się okresowo, osiągając największe natężenie co około 11 lat. Aktywność Słońca ma duży wpływ na Ziemię, oddziałując na jej pole magnetyczne, jonosferę i atmosferę, powodując burze magnetyczne, zakłócenia w łączności radiowej, zmiany pogody itp.

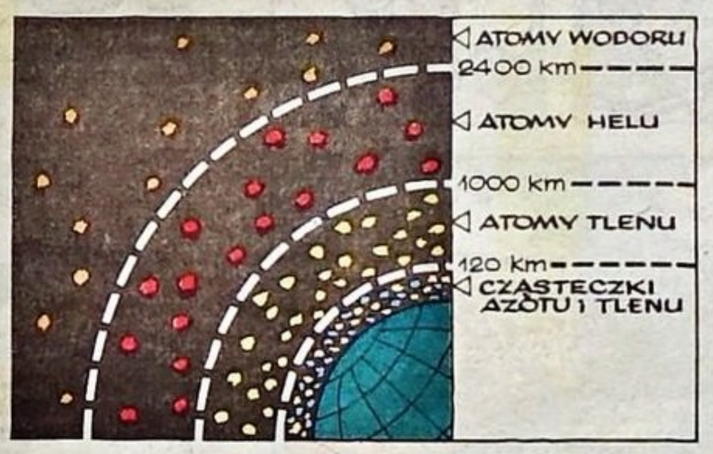

Chromosfera – wewnętrzna atmosfera Słońca, widoczna w postaci czerwonej obwódki w czasie całkowitego zaćmienia Słońca (normalnie niewidoczna na skutek zbyt silnego blasku fotosfery) o grubości ok. 2000 km.

Atmosfera Ziemi – powłoka gazowa Ziemi. Do wysokości 120 km przeważa w niej azot i tlen w cząsteczkach dwuatomowych. Między 120 a 1000 km dominującym składnikiem atmosfery jest tlen atomowy. Powyżej 1000 km znajduje się hel, od 2000 do 2500 km od pow. Ziemi jest tylko wodór, który stanowi zewnętrzną otoczkę, tzw. geokoronę Ziemi (patrz rys.)

„Meteor" – radziecki, satelitarny układ meteorologiczny, złożony ze sztucznych satelitów meteorologicznych oraz sieci stacji naziemnych, umożliwiających opracowanie długoterminowych prognoz pogody w skali całej Ziemi.

Piotr Mazurek
Kraków

Jako że posmutniałem, mój przyjaciel powiedział, że pokaże mi mój dom rodzinny. W tym celu zaprowadził mnie do naszej łaźni, w której tego dnia nie palono.

Weszliśmy do pustego pomieszczenia. Wasia z Marsa wziął miednicę i napełnił ją zimną wodą z kranu. Potem wyjął z kieszeni kurtki maleńką buteleczkę, a z tej buteleczki wysypał na dłoń niebieską pigułkę wielkości ziarnka grochu. Wrzucił ją do miski z wodą, która zmętniała, później upodobniła się do galarety, a wreszcie zrobiła się gładka i błyszcząca jak metal.

– Myśl o tym, co chcesz zobaczyć – rozkazał Wasia.

I nagle w miednicy pojawił się mój dom, a w nim ojciec i matka. Ojciec stał na drabinie, a matka podawała mu kawałek tapety posmarowanej klejem. – Moi rodzice oklejali na nowo pokój i 90 procent z 848 wizerunków „Kochaj mnie!" pokryła już tania zielona tapeta. Pozostawał tylko jeden wąski pasek, skąd patrzyły na mnie niezaklejone jeszcze portrety ślicznotki. Zdawało się, że „Kochaj mnie!" patrzyła na mnie osobiście i prosiła, bym o niej nie zapomniał. Ale oto ojciec przyłożył do ściany ostatnią rolkę tapety, przeciągnął po niej ścierką, żeby wygładzić zmarszczki – i wszystko się skończyło.

– Pokój wygląda jak nowy – z zadowoleniem powiedział do matki schodząc z drabiny. – Teraz możemy wynająć go sublokatorom, a pieniądze będziemy posyłać naszemu Wiktorowi, naszej chlubie. Niechaj śmiało podąża drogą nauki!

Fakt zaklejania tapetą ślicznotki „Kochaj mnie!" przygnębił mnie tak dalece, że Wasia zaczął się obawiać o moje zdrowie. – Ziemski mój kumplu! – zwrócił się do mnie pewnego razu. – Czy nie mógłbym cię czymś pocieszyć? Może znudziło ci się mieszkać w naszym domu?

– Niestety – odparłem – mojej rozpaczy niczym nie da się utulić. A w naszym domu żyje mi się wcale nieźle i ko-

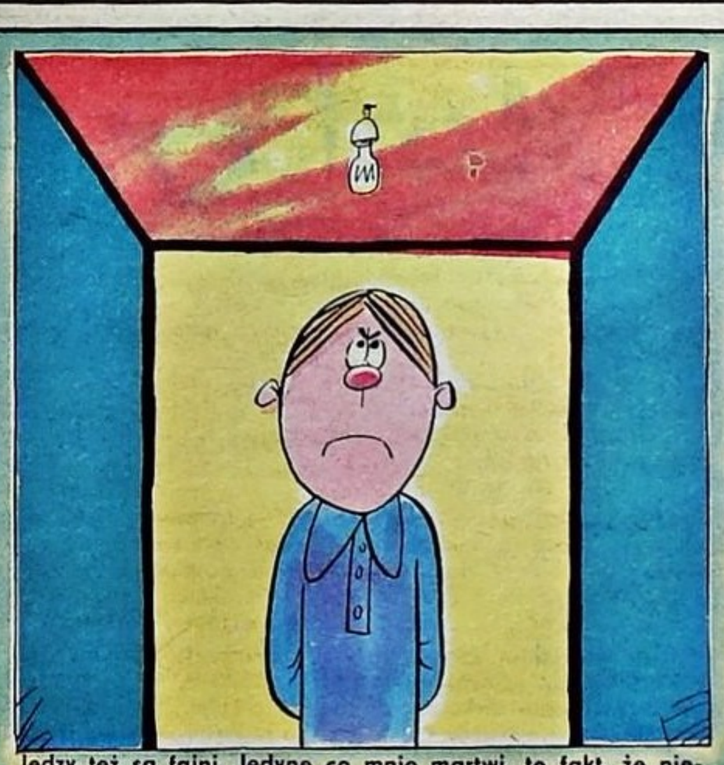

ledzy też są fajni. Jedyne co mnie martwi, to fakt, że niektórzy z nich lubią kłamać. Przecież sam wiesz, że wystarczy, aby wychowawca wyszedł wieczorem z sypialni, a natychmiast zaczynają opowiadać takie swoje przygody, iż rumienię się za nich na całym ciele. Od dzieciństwa nie cierpię kłamstwa.

– Spróbuję ci pomóc – obiecał Wasia z Marsa.

W tym samym czasie siłami wychowanków odnawiano akurat sufity. Kiedy przyszła kolej na naszą sypialnię i w wiadrze stała już rozrobiona biała farba klejowa, Wasia wyjął z kieszeni maleńkie puste pudełko, a z pudełka – pakiecik z jakimś proszkiem. Ten proszek wsypał do wiadra z farbą.

Ledwie zdążyliśmy wybielić sufit, kiedy okazała się ciekawa rzecz: obecnie, kiedy ktokolwiek opowiadając o swoich przygodach zaczynał kłamać, biały sufit sypialni natychmiast stawał się czerwony. I im bardziej kłamał, tym bardziej intensywna stawała się ta czerwień, aż do koloru ciemnopąsowego. Potem, gdy opowiadający wracał do prawdy, sufit robił się biały.

Pewnego razu zauważyłem, że Wasia z Marsa, którego łóżko stało obok mego, schował pod materac porcję sucharów, które powinien był zjeść na śniadanie. Na pytanie, dlaczego to robi, odparł, że wybiera się wkrótce do domu i robi zapasy na drogę. Przecież po drodze jedzenie będzie mu potrzebne.

Zacząłem wtedy odkładać dla niego część śniadania i już wkrótce mój przyjaciel uzbierał całkiem solidny zapas.

I tak któregoś ranka Wasia obudził mnie po cichutku i oświadczył, że nadeszła pora jego odlotu. Zdjąłem więc powłoczkę z poduszki, włożyliśmy do niej suchary i bezszelestnie wydostaliśmy się przez okno do ogrodu. Wkrótce byliśmy już w górach, potem spuściliśmy się w bezludną dolinę, a później ponownie wdrapaliśmy się na zarośniętą krzewami górę. Tutaj Wasia odszukał pieczarę, zupełnie z zewnątrz niewidoczną, i zagłębiliśmy się w nią, rozgarniając gałęzie krzewów.

W głębi pieczary zobaczyłem duży metalowy przedmiot, który kształtem przypominał bańkę na mleko tyle, że bardzo dużą.

C. d. n.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-36-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19.50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i powiatowych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100021. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna: Witold Stefańczak

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Nr indeksu — 35039/35046.
Zam. 51/2748. B-72

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 tel. POCZTOWY

Kamko i Kamka

Tekst i rysunki PAVOL MORAVCIK — CSRS

W redakcji pisma dla młodzieży, jest kącik porad, który prowadzi Igor. Kamko postanawia do niego napisać, aby się poradzić w ważnej dla siebie sprawie...

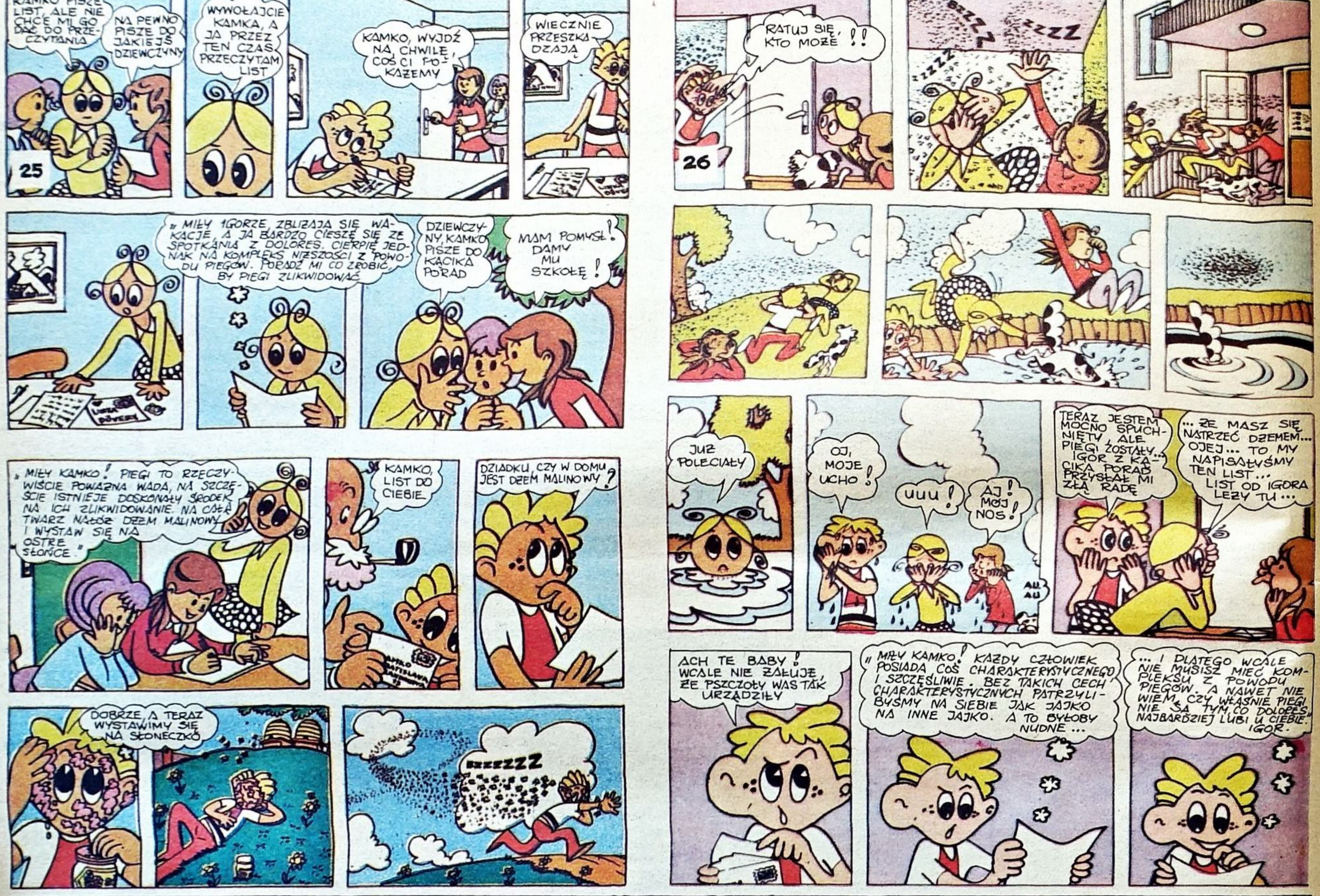

CHŁOPIEC Z PIĘCIOMA NIE

WADIM SZEFNER

Rys. W. Lewiński

Tłum. Zofia Dudzińska

5.

Nie orientował się tylko w geografii i wszyscy nie mogli się nadziwić, że taki oczytany uczeń nie może sobie poradzić z tym przedmiotem. Pewnego razu nauczyciel geografii przyniósł na lekcję duży atlas i zaczął wzywać nas do katedry. Każdy miał wskazać miejscowość, w której się urodził. Od razu znalazłem swoje Rodziszewo-Pożegnalino, inni chłopcy, także, choć w przybliżeniu i hipotetycznie wskazali swoje rodzinne okolice. Ale kiedy nadeszła kolej na mojego przyjaciela Wasię, wbił wzrok w mapę Związku Radzieckiego, przez kilka chwil milczał zmieszany i wreszcie oświadczył, że on urodził się nie tutaj.

— To znaczy jesteś cudzoziemcem — uśmiechnął się nauczyciel i zaczął odwracać przed nim kartki z Afryką, Australią i Ameryką. Ale Wasia wciąż powtarzał, że nie urodził się tutaj.

— Widocznie urodziłeś się w tak dalekim kraju, że zabrakło dla niego mapy — powtórnie zażartował nauczyciel.

ON spadł z Księżyca! — wykrzyknął ktoś z klasy.

— Sfrunął z Wenus! — podchwycił ktoś inny.

— Stoczył się z Marsa! — wykrzyknął trzeci.

Innych przypuszczeń nikt nie wysuwał, ponieważ innych ciał niebieskich wówczas jeszcze nie znaliśmy. To obecnie, dzięki literaturze naukowo-fantastycznej, ludzie znają wiele różnych planet, gwiazdozbiorów i galaktyk.

Nauczyciel słysząc te głosy rozłożył stronice z mapą nieba.

— Może naprawdę urodziłeś się na jakiejś innej planecie? — spytał żartobliwie.

Wasia wskazał palcem jakieś miejsce na pełnym gwiazd niebie i oświadczył:

— Zdaje się, że tutaj.

Nauczyciel pochwalił dowcipną odpowiedź Wasi, ale jednak postawił mu dwójkę i oddał go pod opiekę najlepszego znawcy geografii, Koli Kosego. Ten Kola długo był bezprizornym i znał geografię z praktyki, ponieważ na dachach wagonów zjeździł cały kraj wzdłuż i w poprzek.

Od tego dnia mojego przyjaciela zaczęto nazywać Wasią z Marsa. Było to tym bardziej właściwe, że znalazł się w naszej klasie jako Wasyl czwarty z kolei. Poza nim mieliśmy Wasię — bzika, Wasię frajera i Wasię — konia. Dzięki przydomkom nie sposób było pomylić jednego Wasię z drugim. Mojego przyjaciela jego przezwisko ani trochę nie krępowało i chętnie je przyjął.

Z domu dziecka pisałem kilkakrotnie do rodziców, komunikując im różne szczegóły o moim nowym życiu, ale wciąż nie otrzymywałem odpowiedzi. Nareszcie przyszedł pełen gniewu list od ojca, w którym wyrażał swoje oburzenie, że chodzę do klasy przerośniętych razem z jakąś bezdomną hołotą i że w tym samym czasie, kiedy mój utalentowany brat Wiktor pozwala żywić najpiękniejsze nadzieje, ja przynoszę rodzinie jedynie wstyd. „Nie waż się pokazywać w rodzinnym domu, póki nie wytępisz wszystkich „nie"! — oto jak kończył się list.

Do listu ojciec dołączył kolejny list Wiktora, żebym odczuł jak niski jest mój moralny i umysłowy poziom w porównaniu z bratem.

Podaniszcze

Wielce Szanowni Rodzice

Niniejszym oświadczam wam i poświadczam własnoręcznym podpisem, że moje przyszłe wznoszenie się w sferę nauki trwa z pełnym sukcesem.

Donoszę wam również intymnie i konsultatywnie, że rotyzacja granulowanych integralów oraz pasteryzacja skonsolidowanych metamorfoz spowodowały u mnie wysokocząsteczkowy atawizm i asynchroniczny separatyzm, co może doprowadzić do cudzołożnej anabiozy i nawet do inwariantnego epithelialnego amfibrachu. By tego uniknąć, proszę was, byście przysłali jak najszyciej 15 (pietnaście) rubli na adres UPT 24 — poste restante.

Wasz utalentowany syn Wiktor

Surowość ojca ogromnie mnie przygnębiła i chodziłem jak z krzyża zdjęty. Kiedy Wasia z Marsa spytał, co się ze mną dzieje, pokazałem mu oba listy. Ku memu zdumieniu mój przyjaciel odniósł się obojętnie do listu ojca, a Wiktora nazwał nawet pewnym brzydkim słowem. O mało nie rzuciłem się przez to na niego z pięściami, ale potem domyśliłem się, że Wasia po prostu przejęzyczył się, ponieważ słabo zna jeszcze ziemski język.

C.d. na str. 7